Zorem-Górny. p. Wadowice

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Cena numeru pojedynczego 30 groszy.
Prenumerata krajowa kwartalnie 1·80 zł półrocznie 3·60 zł rocznie 6·— zł
Prenumerata zagran. kwartalnie 40 półr. 80 centów am.
Konto P. K. O.: Kraków Nr 406.000 Warszawa Nr 153.210

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Adres redakcji i administracji: Kraków ul. Zyblikiewicza L. 5/7, m. 55.
Godziny urzędowe codziennie od 1—3
Oddz. w Warszawie: ul. Sienna 23, m. 5. Telefon 46-98.
Oddział we Lwowie: ul. Z. Chrzanowskiej L. 10, parter.

Nr 1 (22) | Warszawa — Kraków — Lwów — 1 stycznia 1927 r. | Rok II.

Na żarnach Bożych

Przychodzimy dziś do was ze słowem o Bogu i o kulcie Boga w kościołach współczesności.

O Bogu? — zdumiejecie się niechybnie.

Tak. Zapomniała o Nim ludzkość zatumaniona cywilizacją. Wyparła się Go, zgubiła Go na rozstajach i imię Jego zblakło, wyświechtało się w jej ustach. Materjalizm współczesny i cała filozofja socjalna zmierza do zupełnego wśrubowania człowieka w bezmyślny „krąg interesów", do pochłonięcia go bez reszty przemożnym problematem gospodarczym.

Przeholowano nawet. Doszło się do ślepego tokowania futurystycznych głuszców, do apoteozy maszyn, do uwielbienia martwej bryły i suchej konstrukcji. Słowem, zalepiono woskiem uszy ludzkie, a oczy nakierowano brutalnie ku ziemi. Ciśnienie dolara i kalkulacji kupieckiej doszło wprost do miljarda atmosfer, do momentu kulminacyjnego, w którym siłą faktu musi nastąpić odprężenie. Miażdżona parowemi młotami, wdeptywana w bruk ulic, tłamszona bezlitośnie, zagłuszona rykiem syren i dzwonkami tramwajów nasza świadomość kosmiczna buntuje się groźnie, burzy i żąda posłuchu. „Krąg interesów" zaczyna nie wystarczać. Więzień wyłamuje kraty. Niedługo nadejdzie może chwila, w której ludzkość klaszcząca w dłonie, jak triumfujący dzieciak na widok skonstruowanych przez siebie zabawek w samochwalczem upojeniu — przejdzie przedziwną operację zdjęcia katarakty, dokonaną przez niewidzialnego chirurga. W nagłem olśnieniu zrozumie, że podczas gdy ona upijała się na dancingach i rozdrabniała w żarliwem wypełnianiu niezliczonych, błahych czynności życiowych, stał ustawicznie za ścianą ktoś olbrzymi, kto — zaiste — nie poto chyba wyłonił człowieka z otchłani i nie poto z kawałka poruszającej się materji uczynił go świadomym siebie i myślącym, aby ten wspaniały, choć straszny dar roztrwoniono w tępem, bydlęcem przeżuwaniu.

Zanadto już okradziono człowieka z jego zasobów duchowych; zbyt bezwstydnie zignorowano w nim w wieku XX-tym jego skłonności metafizyczne, budując mu jego dom i świat wyłącznie na żelazo-betonowym fundamencie realnego bytu. Jest ogień, który żelazo, jak wosk rozgina, jest młot, który i beton na pył skruszy.

O tem się zapomniało, niestety. To musi się zemścić.

Człowiek pozornie tylko znajduje się na zewnątrz tajemnicy — w istocie przykuty jest do niej na całą wieczność, tkwi w niej, oddycha nią, jak powietrzem. Ten sam nieprzeparty przymus, który dzikusom z Afryki każe nieprzeniknionym bóstwom wznosić posągi i ołtarze, przesyca jaźń człowieka współczesnego — i nie pozwala mu pozostać obojętnym na odwieczną zagadkę.

Przyjdzie czas i nowa, apokaliptyczna trwoga, trwoga przed Bogiem, przed śmiercią i przed gwiazdami potrząśnie nim „jako lew koźlęciem". Tak, jak w epoce pochodni Nerona straszliwy wichr grozy porwie go za włosy, rzuci na kolana przed Nieodgadłem i odwróciwszy wzrok jego od spraw ciała, tego mdłego refleksu duszy, skieruje go ku czarnej zasłonie Izydy. Coś wielkiego przemłóci i przeora skostniałe religje, rozedrze pożółkły pergamin szablonów i systematy filozoficzne połamie, jak drewno.

Niechaj nikt nie poczyta nam słów tych i przeczuć za brak konsekwencji. Ktoś — pisząc o nas — podzielił współczesny ruch umysłowy na dwa obozy i zaliczył nas do jednego z nich, jako neo-pozytywistów, przeciwstawiając nam obóz powojennego mistycyzmu, krzewiącego się na gruzach zdruzgotanych ideologij.

Pozornie wyglądać to będzie na paradoks, gdy powiem, że oba te kierunki wypisaliśmy na naszym sztandarze. Ale nie. Nasz pozytywizm nie jest zaprzeczeniem ducha; wprost przeciwnie — on z ducha pochodzi. Czujemy nietylko życie, ale i to, co poza życiem. Kochamy nietylko współczesność, ale i wieczność. Uniwersalizm nasz należy do wszechświata. Wyrzekamy się idealizmu w imię wielkiej wspólnoty i w imię uczestniczenia w niezmiernym kollektywie pracującej przyrody.

Jeżeli wołamy: „pokój!" — to dlatego, że Bóg nasz brzydzi się krwią bratobójczej rzezi. Jeżeli wołamy: „praca!" — to dlatego, że Bóg nasz nie spoczywa przy wiekuistym warsztacie słońc i mgławic. Jeżeli wołamy: „ludzkość!" — to dlatego, że Bóg nasz uczy nas myśleć o całości, a nie o sobie. A zatem paradoks zwycięża. Nasz pozytywizm zanurzyliśmy w niebie gwiaździstem.

I oto pisząc o życiu mas, o zdarzeniach współczesnych i o [illegible]ących zjawiskach natrafiamy wszędzie na ślady mglistego Boga. W każdym najdrobniejszym ułamku codzienności dostrzegamy otchłań tajemnicy. W każdym szeleście drzewa podsłuchujemy patos wieczności, a w każdym przechodniu z miejskich ulic przeczuwamy wędrowca Dróg Mlecznych. I ta nieustająca czujność, to prawdziwe „czyhanie na Boga" staje się dla naszego natchnienia potężnem, niewysychającem źródłem.

Pustka zieje z głów ludzi. Pustka zieje z ich rozmów i pożądań. Pustka zieje z wierszy, dramatów i powieści. Skądże ta pustka, gdy tak przemożna treść pieni się za wrotami? Otworzyć wrota! Niechaj się wlewa ten grzmiący potop gwiazd i uniesień, ten nowy szał mistyczny, którym twórczość naszą pragniemy przepoić.

Wierzymy, że On jest wśród nas, On, co zmurował świat z kurzawy — i że na Jego grozą huczących żarnach przemiela się ziarno słów naszych na białą mąkę powszedniego chleba.

Bóg w poezji współczesnej

Zagadnienie wiary i zagadnienie poezji da się podciągnąć pod wspólny mianownik uczuciowego przeżycia, w którem czynnik intelektu usunięty jest na plan dalszy. Świat bez Boga jest złym rachunkiem, w którego wyniku pozostaje zawsze szydzące ze wszystkich rozumowych dociekań manco; życie bez Boga jest tragikomedją ciasnego egoizmu, zamkniętego w kolisku rozpaczliwych, nieświadomych często, a zawsze wątpliwej wartości, fałszerstw; poezja bez Boga jest bezsilnym szkieletem, cuchnącym wonią rozkładu i beznadzieją manji samobójczej.

Nic tedy dziwnego, że żadna, racjonalizmem przepojona epoka, poezji prawdziwej, a tem mniej wielkiej, nie wydała. Umysł ludzki skazany jest na wieczny wahadłowy ruch; jeden jego kraniec stanowi nauka a drugi poezja. Dylemmat Fausta, który Spenglerowi nasunął pomysł nazwania naszej współczesnej epoki kulturalnej, nie stracił nic ze swej półtorawiekowej aktualności, co więcej, w walce ekstremistycznych poglądów nie zbliżył się nawet do rozwiązania. Zdołano zaledwie między tem, co niewspółmierne przeciągnąć (tak niedoskonałą jeszcze) linję graniczną, będącą dla poezji wskaźnikiem jej przyszłego rozwoju.

Od chwili rozstrzygnięcia niefortunnej walki karła parnasizmu z romantycznym olbrzymem jasnem się stało, że racjonalizm we wszelkich jego przejawach, nawet tych najbardziej (po comte'owsku) »pozytywnych«, skazuje najżyźniejsze dziedziny poezji na nieuniknioną zamianę w szarą, bezbarwną, martwą pustynię; skrajny realizm, jak skrajny idealizm degraduje ją do roli platońskiej »mimesis mimeseos« (naśladownictwo naśladownictwa).

Oto najlepsze pro memoria dla tych, którzy dziś jeszcze chcą w poezji opiewać produkty i wyniki człowieczego rozumu. Wszakże i literaccy »mechaniści« mówią chętniej o duchu maszyny, niż o jej częściach składowych — i to ustępstwo rozsadza wąski, choć przyznać trzeba, oryginalny, teren ich twórczych odczuć.

Symbolizm uczył po raz pierwszy tej głębokiej prawdy, że kultura materjalna jest dla Europy największą klęską i nieszczęściem. Druga z rzędu (po romantyzmie) i istotniejsza zda się rehabilitacja średniowiecza, czyni w naszych umysłach pierwsze nieśmiałe kroki. Niedawno uczeń Parnasu, sceptyczny schyłkowiec, Verlaine, ukorzył się wreszcie przed jasną wizją objawionego mu w chwili nieszczęścia Bóstwa. Wiew mistycyzmu i religijnego napięcia płynie ze Wschodu. W swem samotnem »buon retiro« Maeterlinck czeka nadejścia »nieznanego gościa«, Huysmans kończy życie w klasztorze, Verhaeren przerażony wizjami bliskiej rewolucji, która, według niego, jak według Słowackiego, z ducha płynie, otacza się skrzydłami Bożej łaski i prostoty, tak podobnej do »Księgi ubogich« Kasprowicza w swym wszechogarniającym panteizmie. Claudel, Rilke i Rostworowski znajdują w wierze pewną, niezachwianą podstawę swego światopoglądu i swych literackich natchnień. Wreszcie przez twórczość wszystkich nieledwie naszych poetów przewijać się poczyna różnie naświetlana, różnorako pojmowana postać Chrystusa.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że istota wiary, wiejącej z tylu tomów współczesnych dzieł poetyckich, rozwiązać się da zupełnie wielką w swej prostocie formułką Tagorego, zaczerpniętą z mądrości Upaniszadów: »Człowiek może być szczęśliwy tylko wówczas, jeśli w tem życiu pozna Boga; jeśli nie, jest to dla niego najcięższą klęską« (Sadhana). Proces inicjacji odbywa się u człowieka współczesnego z reguły drogą tragedji duchowej, buntu i rozpaczy. Czy tragedję tę spowoduje jakaś przytłaczająca krzywda społeczna, kataklizm w rodzaju wojny światowej, czy nagła świadomość małowartości pracy naukowej i intelektualnej — to już jest obojętne. Jak w Mickiewiczowskich »Dziadach«, ku tajnym [illegible] duszą garnie się skto rozpacza, kto wspomina i kto życzy«. Cierpienie, do białości rozżarzone świadomością, iż niema końca ni kresu prometeistycznemu wysiłkowi odgadnięcia »nieodgadnionego«, dyktuje Claudelowi rozpaczliwe słowa: »Trzeba, abym nie był szczęśliwym! Trzeba, abym nie był zadowolonym! Trzeba, by mi nie zamykano ust i oczu tym rodzajem szczęścia, które nam odbiera żądzę...« (Le père humilié).

Taż sama myśl inspiruje najpiękniejsze utwory »Czyhania na Boga« Tuwima, taż sama myśl tętni w każnej strofie »Hymnów« Wittlina, dochodząc do najwyższego może wyrazu w wspaniałym »Bólu drzewa«. Straszliwy dramat materji, na której po wieki ukrzyżowanym jest duch.

„Ja drzewo, drzewo skrwawione
gniję od lat w głębi ziemi
a ziemia ta — zwie się świętą!
I zgniłem.
A On zmartwychwstał —
mówi wieść".

Szczycić się możemy tem, że w poezji naszej właśnie wyrósł i rozwinął się twórczy fenomen, któremu danem było przejść po kolei wszystkie szczeble uduchowienia, aż do radosnej, wszechchłonącej miłości i samozaparcia. Fenomenem tym był niedawno zgasły Kasprowicz. Walka o wiarę, tragiczne wparcie ramion w otaczającą nas pustkę, przybiera u niego formy odwiecznej walki Dobra ze Złem, Chrystusa z Lucyferem. Kim jest Lucyfer? Mówi nam sam o tem wyraźnie. »Ja w dusze człowiecze... Wbijam zwątpienia siedmiorakie miecze...« Walka o wiarę, jedynie możliwy klucz do zrozumienia tajemnicy, przeistacza się tedy w walkę z Szatanem; poemat p. t.: »Chrystus« jest pierwszym zaledwie jej etapem.

Dusza przepojona jadem racjonalistycznego światopoglądu, nie trafia jednak odrazu na właściwą ścieżkę. Nurtuje ją zwątpienie, wyrywając z piersi poety krzyk:

„Albo człowieka żaden Bóg nie stworzył,
Lub z powszechnego prawa tak wydrożył...
Że dlań już ognia żadnego nie stanie".

Pozostał mu tedy tylko jeden pewnik: Świadomość własnego cierpienia, własnej woli [illegible] stwu skierowanej. I na [illegible] wuje się kartezjańskim wysiłkiem gmach jego wiary. W »Hymnach« odbudowa się już dokonała. »Święty Boże, święty, mocny« woła swoją pierwszą modlitwę pochwalną dusza, trzepocząca się jeszcze w sidłach zwątpienia »jak ptak ten nocny«. A potem, w krwawej spowiedzi »Mojej modlitwy wieczornej«, w okrzyku, który jest już samosądem: »Boże! Czemu nie karzesz?«, rodzi się świadomość boskości cierpienia, śmiechowi szatana naprzekór wołająca: »Salve Regina«. Tu już przeczuwać możemy, że pieśń ostatnia uderzy w ton »Franciszka z Assyżu:

„Uciszcie się ptaszkowie! brat wasz pieśń chce [śpiewać
albowiem serce mu rośnie,
że może cierpieć Cierpieniem,
z którego rodzi się Miłość".

Tworzy się najwyższy, najprostszy ton »Księgi ubogich«. Bogiem jest przepojone wszystko, przed wszystkiem ugina się dusza w kornym, radosnym zachwycie. Światopogląd poetycki upraszcza się, ale w nieskończoność pogłębia i z piersi ściśniętej męką, z ust, które dotąd krzywiły się spazmem niewiary, walki i płomiennych pragnień, po raz pierwszy wypływa jasne wyznanie:

„Swobodna jest dusza moja,
Nikt jej skrępować nie zdoła,
— — — — — — —
Sama jest sobie monarchą,
Sama jest sobie kapłanem".

J. F.

Od Wydawnictwa

W bardzo ciężkich warunkach dla wydawnictw, a szczególnie dla wydawnictw literackich, rozpoczynamy rok drugi. Naszym przyjaciołom dziękujemy za dotychczas okazywaną naszemu pismu życzliwość i poparcie. Jednajcie nam nowych przyjaciół!

Prenumeratorów naszych prosimy o regularne opłacanie przedpłaty.

Ze swej strony będziemy się starali wciąż o podnoszenie poziomu naszego pisma przy zachowaniu jego charakteru, odbijającego wydatnie od wszystkich dotychczasowych i współczesnych literackich wydawnictw w Polsce. Interesować zawsze nas będą obok spraw czysto literackich kwestje społeczne i ten szeroki krąg spraw, który z zagadnień socjalnych wynika, a pozatem kwestje stosunku Człowieka do Człowieka, Świata i Bóstwa.

Darząc nas swoją życzliwością, pozwalacie nam na tych terenach pracować.

Wierząc w was, idziemy dalej — naprzód.

JERZY BRAUN

„Oblicze czarne"

(Zakończenie powieści)

...Począł gnać na oślep, a hałas przycichał za nim w ciemnościach. Pędził drogami i pustkowiem, wdrapywał się na stoki i osuwał się w wąwozy, bez końca, bez końca... Jak długo trwało, to nie wiedział, ale przysiągłby, że wieczność całą.

Ale nie ustawał w ucieczce, bo obłąkany strach pchał go jak najdalej od tego przeklętego miejsca, gdzie była warownia Hanan.

Wreszcie po wielu, wielu godzinach osłabł.

Zatrzepotał rękami w powietrzu i poczuł, że traci grunt pod nogami. Począł spadać, spadać w dół, a żwir sypał się razem z nim, chrzęszcząc. Nad głową naprzód widział gwiazdy, ale potem znikły i one, bo leciał głową w dół.

Stracił przytomność...

— — — — — — — — — —

Gdy ją odzyskał, świtało już.

Niebo nabierało światłość w pełne dłonie i zlewało nią ziemię. Kropla tej światłości padła także i na niego, bo gdy otworzył oczy, zaszkliły się w nich łzy ukojenia.

Balsamy spływały nań, ciepło otulało go.

Rozejrzał się dokoła.

Znajdował się w dolinie bez wyjścia, otoczonej stromemi ścianami. Nieopodal bielała świątynia, której głąb wykuta była w skale. Nad świątynią tą unosiło się złote zachwycenie. Świeżość i tkliwość była obok niego, skrzydlate pląsanie łagodności przepływało ponad doliną.

Na widok jej, świątyni Boga nie przeciął bruzdami czoła.

Tym razem uśmiechnął się i wiedział, jak ma postąpić. Czuł, że wszystko pozostało daleko za nim, że nowość otwarła się łkając, jak ojciec, który oczekuje syna.

Czołgał się na kolanach ku wrotom świątyni, nędzarz, na którym skrzepło mnogo krwi. Ból drążył czaszkę, rozdarte hakami plecy piekły, jak przyłożone łuczywo. Ale Nefre nie pamiętał o tem. Radował się jeno, że oto trafił na swój własny, umiłowany szlak, z którego odciągały go dotąd złe ręce.

— Otom jest Twój, boś mnie schwytał na arkan Twojego zmiłowania. Otom jest przywrócony, bom nędzny i cichy i sama glina. Otom rozdarty żelazem i dzban mojego ciała przelał się krwią. Deptali po mnie, dobrodziejstwo mi świadcząc, przeto błogosławię im. Smagali mnie, dobrodziejstwo mi świadcząc, przeto błogosławię im. Odjęli mi niewiastę moją dobrodziejstwo mi świadcząc, przeto błogosławię im.

Blaski nachodziły nań coraz większe, a nie było nic dokoła prócz świątyni i słońca. Przeto czołgał się i szeptał:

— Skrzywdziła mnie, przeto jej nie złorzeczę. Ciało skalane oczyściła sama, zadając mi mękę. Pozbawionym jest sławy, jedno brzemię zdjęte jest ze mnie. Pozbawionym jest władzy, drugie brzemię zdjęte jest ze mnie. Pozbawionym jest dóbr ziemskich, trzecie brzemię zdjęte jest ze mnie. I nie masz ze mnie nic, krom schorzałego, trędowatego nędzarza, który łaknie pokarmu Twego i napoju Twego pragnie. Przepuść i daj mi pić...

Tak szeptał, tak żebrał, aż legł pod wrotami i zemdlał.

A wówczas wyszli słudzy świątyni, podjęli ciało niemocne, pytając się w zdumieniu:

— Któż jest ten mąż, którego dotknęło srogie nieszczęście? Ciało jego w ranach, a strzępy szat nie okrywają go przed skwarem dnia, ani przed chłodem nocy.

I ponieśli go smutnie, bo byli litośni bardzo i miłowali człowieka.

Gdy Nefre podniósł powieki, spojrzenie jego padło na wyniosłą postać kapłana, u którego stóp go złożyli słudzy.

— Azali duchem jesteś? — zapytał.

Albowiem kapłanem tym był Ramhotep nauczyciel jego, Piastun Rozkwitających Duchów.

— Synu — odrzekł Ramhotep — nie mylisz się, ja jestem... Przyszedłem tu za tobą...

— O — załkał Nefre — a czy wiesz, ktom ja jest i że nie wolno ci dotknąć ciała mego, bo jest skażone grzechem bez odpuszczenia.

— Powiedzianem jest, że każdy grzech przebaczon będzie.

I nauczyciel pochylił się nad nim, a podejmując go z prochu, przytulił go do białej szaty i ucałował, jak brat i jak ojciec.

A wtedy Nefre zapłakał i z oczu jego popłynęły rzęsiste strumienie łez.

Ramhotep nie uspakajał go, pozwolił mu się wypłakać.

Poczem rzekł:

— Azali wiesz, gdzieś zabłądził?

— Nie wiem, ojcze.

— Drogi ducha, jak i wyroki Niepoznawalnego niezbadane są oczom śmiertelnych. Oto jesteś w miejscu, do którego wysłano cię z Set-neft, byś wziął Wtajemniczenie Najwyższe.

— O Ramhotep, puść mnie, abym pierzchnął w trwodze, albowiem stopy trędowatego podeptały miejsce święte.

— Nefre, wiedz, że nic nie jest małego, ani nic wielkiego przed Panem. Jedna noc przeważy szalę lat całych, a za sto dzbanów krwi przelanej wystarczy jedna kropla. I większa jest radość z jednego powróconego, niźli z dziesięciu takich, co nie odeszli nigdy.

— Jakiż to traf, ojcze, przywiódł mnie tu. Gdybym był szukał, nie byłbym znalazł.

— Szukanie szukaniu nierówne. Jeden szuka oczyma, a drugi duchem i zaprawdę ten jest mąż sprawiedliwy i ten znajdzie łaskę przed Nieprzeniknionem. A teraz chodź za mną...

— Gdzież mnie powiedziesz?

— Żywot twój pozostał za bramą, jak kłębek łachmanów. Czy chcesz doń powrócić, aby go podjąć na nowo?

— Przenigdy.

— Tedy cię powiodę w żywot inny.

I szli przez światło i przez mroki, aż weszli w wielką grotę, gdzie nie było nic prócz lamp i pilastrów, a w pośrodku jej siedział potężny Sfinks na cokole.

— Zapytaj go, a on ci odpowie — rzekł i cofał się we mgłę.

Nefre stał i patrzał. Ogromne, nieruchome źrenice nie drgnęły, gdy posłał ku nim płomienie oszalałych zapytań.

I naraz doznał uderzenia w stos pacierzowy i we wszystkich punktach otwarły się przed nim wrota. Zamiast Sfinksa spoglądało weń nieruchomo OBLICZE CZARNE.

I naraz ujrzał wszystko rozsnute przed nim w niekończącym się nigdzie łańcuchu. W straszliwem, druzgocącem objawieniu dostrzegł odwieczność zjawisk i ogarnął wszystkie prawdy, aby zrozumieć, że niemasz nic poza siedmioraką zasłoną, jeno czarność bez dna i nieświadomość bez początku i niepoznawalność bez końca...

I pojął, że niemasz Ammona i niemasz świątyni, któraby ukrywała prawdę i że sama prawda nie istnieje nigdzie we wszechświecie. Jest jeno Oblicze Czarne, czyli Nic nieświadome i bez granic...

A wtedy przeszył go ból tak straszliwy, że zbrakło mu tchu w piersiach i w żałości niezmiernej serce jego pękło i upadł.

Zabiło go Wtajemniczenie Najwyższe.

— — — — — — — — — —

Wtedy Ramhotep pojawił się nad zwłokami i uśmiechając się z niewysłowioną mądrością, rzekł:

— U nóg mi uczeń mój leży, Panie. Cóż z nim uczynię?...

A SFINKS ZMILCZAŁ — ALBOWIEM ODPOWIEDZIĄ JEGO JEDYNĄ JEST BRAK ODPOWIEDZI PO WIEK WIEKÓW, ZA CO NIECHAJ BŁOGOSŁAWIONYM BĘDZIE NA ZIEMI I W NIEBIESIECH.

Rola społeczna religji w najbliższej przyszłości

Ludzie, uważający się za postępowych, głoszą dziś conajmniej przedwczesne hasło, że religja jest rzeczą prywatną, że powinna nie odgrywać żadnej roli w życiu społecznem. Chcą ograniczyć pole działania religji do minimum, jakie stanowi zamknięta w sobie indywidualność człowieka. Skromny i cichy domek człowieczej jaźni ma zamykać w sobie wszelkie wpływy religji na działalność człowieka. Poprostu żąda się, aby religja upoważniała człowieka jedynie do robienia porządku we własnym domu, bo już z chwilą przekroczenia progu powinien spotykać się z etyką społeczną, ze świeckiemi nakazami, układającemi jego stosunek do innych ludzi.

To hasło, że religja jest rzeczą prywatną, nienaruszalną i niczego nienaruszającą czemś oderwanem całkowicie od życia społecznego, ma za podstawę dwa postulaty, oba w równym stopniu sprzeczne z rzeczywistością. Pierwszy z tych postulatów opiera się na przekonaniu o możliwości istnienia doskonałej tolerancji, a drugi na założeniu, że można z religji wyłączyć etykę, że można ją ograniczyć do samego zatapiania się w bóstwie i wielbienia tego bóstwa bez wyciągania stąd jakichkolwiek konsekwencyj dla życia praktycznego.

Hasło tolerancji, uznawania za święte cudzych przekonań, może mieć praktyczne znaczenie, o tyle tylko, o ile czyjeś t. zw. przekonania są zupełnie pozbawione pierwiastka społecznego, poprostu, o ile nie mają nic do czynienia z życiem praktycznem. Doświadczenie bowiem uczy nas, że wszelkie najświętsze przekonania, o ile tylko mają jakiś odpowiednik w praktycznej działalności człowieka muszą z konieczności ścierać się ze zbiorową wolą społeczeństwa. Ono bowiem jest z natury rzeczy, bez względu na ustrój, wrogiem niewkraczania w dziedzinę osobistych przekonań, o ile tylko te przekonania, choćby w najmniejszym stopniu wpływają na postępowanie człowieka w życiu. Doskonała tolerancja przy praktycznem stosowaniu swoich przekonań przez każdego człowieka jest utopją anarchistyczną. To też twierdzenie, że religja jest rzeczą prywatną, w znaczeniu absolutnej jej nienaruszalności, mogłoby tylko wtedy stać się obowiązującą zasadą, gdyby religja nie miała żadnego wpływu na praktyczną działalność człowieka, na jego stosunek do innych ludzi, słowem, gdyby ograniczała się po wyłączeniu z niej etyki jedynie do wzruszeń metafizycznych.

W czasach nowożytnych objawia się wybitne dążenie do przesadzenia etyki z gruntu religji na grunt świecki, do zeświecczenia jej i pozbawienia religijnego charakteru. Do tego celu mają prowadzić zasadniczo dwie drogi. Z jednej strony zakłada się istnienie w duszy człowieka prawa moralnego, ogólnie zwanego sumieniem, człowiekowi wrodzonego, którego nakazy mają normować postępowanie człowieka. Z drugiej strony głosi się utylitarystyczne hasło nie czynienia bliźnim ze względu na płynące stąd wzajemnie korzyści.

W praktyce obie te drogi niewielkie mają znaczenia. Pierwszą mogą kroczyć nieliczni, bardzo nieliczni ludzie, dobrzy i silni, którzy są zresztą duchowymi dziedzicami kultury etycznej, wyrosłej na gruncie jakiejś moralnie wysoko stojącej religji. Strona etyczna religji przysłoniła w ich umyśle stronę dogmatyczną i oto powitali fakt, jako zjawisko istniejącego a priori prawa moralnego.

Druga droga, pomijając jej niższość moralną, jest równie trudna. Mogą nią kroczyć tylko ludzie rozumni, a tych jest conajwyżej tyle, ile dobrych. Nim ludzie zrozumią, że tylko solidarystyczne pojęcie własnego interesu, jest naprawdę pojęciem własnego interesu, upłynie dużo jeszcze czasu.

Cywilizacja wbrew ogólnym oczekiwaniom nie powiedziała w tej sprawie żadnego ważkiego słowa. Z jej krzyku i puszenia się w stylu Lafontaine'owskiej żaby możnaby wnosić, że nietylko podniesie skalę możności zaspokajania ludzkich potrzeb, ale i stworzy związany z nią organicznie światopogląd. Tymczasem nie uczyniła ani jednego, ani drugiego. Przez swój szał tworzenia środków do życia przy zupełnej zatracie sensu życia, wzmogła skalę potrzeb, skalę ludzkich żądz do mąk Tantala i w równym stopniu obniżyła możność ich zaspokojenia. Sens życia zatracił się w cywilizacji z jednej strony przez utożsamienie życia z gromadzeniem środków do życia, a z drugiej przez fakt, że cywilizacja ludzi nie cywilizuje, ale tylko oswaja ze sobą. Pomiędzy ciemnym chłopem, który dziś zapala fajkę zapałką, a jego przodkiem, który do krzesania ognia używał hubki i krzesiwa, istnieje tylko ta różnica, że pierwszy zapałki się nie boi, a drugi uznały to za czarnoksięstwo.

Ten przykład jest dosadnem zobrazowaniem stosunku naszego do cywilizacyjnej twórczości. Naogół bowiem używamy zdobyczy cywilizacyjnych tak, jak jemy chleb codzienny, nie ceniąc ani ich wartości, ani włożonej w nie twórczej pracy. Co więcej, ten bezmyślny stosunek do cywilizacji spotyka się nawet u tych ludzi, którzy uchodzą za jej twórców. Uczony, który n. p. oddaje ogromne usługi społeczeństwu przez stworzenie nowych metod fabrykacji sztucznych nawozów, równocześnie pracuje nad fabrykacją materjałów wybuchowych i gazów trujących i nie uważa swej pracy za budowanie i burzenie domków z kart. Są to objawy ogólno-światowego obłąkania, na skutek których postęp robi wrażenie chęci posuwania się w ten sposób, że człowiek stawia jeden krok naprzód, a drugi w tył- lub jak chcą ludzie „czarno na świat patrzący" dwa kroki w tył.

W ogólno-światowem koncercie warjatów gra pierwsze skrzypce Europa obłąkana nacjonalizmem. Sarkastycznie ujął taki postęp Fr. Grillparzer: „Europa rozwija się od chrystjanizmu przez humanizm i nacjonalizm do bestjalizmu".

Ten bezmyślny stosunek człowieka współczesnego do cywilizacji wyklucza stworzenie jakiegokolwiek światopoglądu praktycznego, związanego organicznie z cywilizacją.

Ponieważ więc ani wrodzone a raczej urojone prawo moralne, rzekomo istniejące à priori w duszy człowieka, ani etyka utylitarystyczna, ani cywilizacja nie są na razie w stanie stworzyć fundamentów dla ogólnie przyjętego praktycznego światopoglądu, więc z konieczności musi być religja przez potrzebę etyki religijnej wciągnięta w życie.

Przysłowia uchodzą za mądrość narodów. Znane przysłowie, „gdy trwoga, to do Boga" ma tu swój pełny i głęboki, bo społeczny sens. Ludzie, którzy są sobie wilkami, którzy prawo brutalnej walki o byt posadzili na ołtarzu ludzkości, drżą przed zwierzęciem zamkniętem w klatce ich piersi. Ten lęk przed samym sobą, usprawiedliwiony wojną europejską, zmusza człowieka do szukania oparcia o coś, co korzeniami tkwi w nienaruszalnej wieczności.

Cywilizacja tanków i bomb gazowych nietylko nie wyrzuca religji poza nawias społeczeństwa, ale jest jej paradoksalnym apostołem. Przez swój szaleńczy, niszczycielski pęd, przez stojącą ludziom przed oczyma potworną zmorę zwierzęcia w masce przeciwgazowej, zmusza człowieka do wyciągania rąk do Boga z prośbą o pomoc. Ona, która miała być pomnikiem człowieczeństwa, nieprzekraczalną granicą między człowiekiem a zwierzęciem, staje się grobem wiary w człowieka, bo człowiek cywilizowany okazuje się bardziej zwierzęcy niż zwierzę.

Wojna jest jednym z najlepszych apostołów religji. To też najbliższa wojna, wisząca nad Europą, przyniesie, gdy zgliszcza zagasną, odrodzenie religijne. Możnaby złośliwie poradzić duchowieństwu wszystkich wyznań, aby z kazalnic rozbrzmiewała codzienna modlitwa o wojnę. Zresztą dzisiejsza zwyżka kursów nacjonalistycznych na rynkach religijnych uprzedza, jak się zdaje, tę przyjacielską radę.

Z tych i wielu jeszcze innych powodów społeczne stanowisko religji nie prędko zostanie zachwiane. Życzenie, aby religja stała się rzeczą prywatną, w pełnem, a nietylko prawnem, tego słowa znaczeniu, długo jeszcze pozostanie pobożnem życzeniem.

Zbliżające się odrodzenie religijne wysunie oczywiście na czoło religij taką, która będzie najwięcej społecznie korzystną, która najlepiej nada się do uratowania gatunku. Nie ulega wątpliwości, że wybór padnie na chrystjanizm, ze względu na udowodnione, biologiczne korzyści jego etyki. Katolicyzm w tym ruchu odrodzeńczym tem większą odegra rolę, im więcej pozbędzie się kokieterji i kompromisów w dziedzinie etyki pod naporem naciskających na niego sekt.

O formie tego ruchu, o jego fanatyźmie lub nawet rozwydrzeniu, zadecyduje odległość, na jaką człowiek, zdziczały w przerażeniu na widok szaleństwa cywilizacji, zbliży się do zwierzęcia.

Jak ongiś w zamierzchłych czasach, tak być może i w tej czarnej godzinie przyszłości, religja znowu pomoże człowiekowi postawić nogę na pierwszym szczeblu człowieczeństwa.

A. P.

Istota religji a indywidualizm religijny

Zawsze przy charakteryzowaniu religji, czy zjawisk religijnych, mówi się o nadnaturalności. Przez to pojęcie rozumią ludzie wszystko, co przekracza możność naszego rozumienia. Według tego zadaniem religji byłby pewien rodzaj naszego ustosunkowania się duchowego do rzeczy, które wymykają się z pod badań wiedzy. W tym sensie określa religję Spencer: »Religje, biegunowo przeciwne swojemi dogmatami, zgadzają się milcząco na zasadę, że świat ze wszystkiem, co obejmuje i co go otacza, jest tajemnicą, która pragnie wyjaśnienia«. Podobnie Max Müller widział w każdej religji »wysiłek celem pojęcia niepojętego, wypowiedzenia niewypowiedzialnego, dążenia do nieskończoności.

Istotnie, poczucie tajemnicy odegrało ważną rolę w pewnych religjach, między innemi w chrystjaniźmie. W każdym jednak razie ten pierwiastek ukazał się dość późno w historji religij. Jest on obcy nie tylko ludom pierwotnym, ale i wszystkim tym, którzy nie osiągnęli jeszcze pewnego stopnia kultury intellektualnej. Przypomina mi się tu rozmowa w chacie góralskiej na Podhalu i góral, który mi postawił taką »zagadkę«: »na co jest człowiek stworzony«? Gdy zdumiony zapytaniem przypuszczałem u tego chłopa pewną skłonność do filozofowania, on ucieszony brakiem odpowiedzi z mej strony, rozwiązał zagadkę z dumą — słowami katechizmu.

Idea nadnaturalności nosi datę dnia dzisiejszego. Ona w rzeczywistości zawiera w sobie ideę negacji, która nie ma w sobie niczego pierwotnego. Dopiero wiedza, a nie religja nauczyła ludzi, że zjawiska i rzeczy są skomplikowane i trudne do zrozumienia.

Ponieważ więc idea nadprzyrodzoności, idea tajemnicy wszechświata nie ma w sobie niczego pierwotnego, ponieważ człowiek ukuł ją własnemi rękami w tym samym czasie, co ideę negacji, ponieważ występuje tylko w niewielkiej liczbie religij najwyżej rozwiniętych, więc też nie może służyć do scharakteryzowania zjawiska religijnego.

Drugą ideą, przez którą starano się często objaśnić religję, jest idea bóstwa.

Otóż po pierwsze istnieją wielkie religje, którym obcą jest idea bóstwa i ducha lub u których gra ona rolę podrzędną. Ten wypadek zachodzi w buddyźmie. Buddyzm — powiada Burnouf — »przeciwstawia się bramanizmowi, jako moralność bez bóstwa i ateizm bez natury (wiecznej). On nie uznaje wcale bóstwa, od którego człowiek zależy; jego nauka jest bezwzględnie ateistyczna«. Dla wyznawców tej »religji bez bóstwa« cały buddyzm zamyka się w czterech założeniach, które oni zowią czterema szlachetnemi prawdami. Pierwsza zakłada istnienie bólu, cierpienia związanego z wiecznym biegiem rzeczy; druga ukazuje w pragnieniu przyczynę bólu; trzecia stawia stłumienie pragnień za jedyny środek do stłumienia bólu; czwarta wylicza trzy etapy, które wiodą do tego wyzwolenia: prawość, rozmyślanie i w końcu mądrość, jako pełne, duchowe posiadanie nauki Buddy.

Co prawda w pewnych sektach buddyzmu, Budda sam zajął miejsce bóstwa i ma nawet swoje świątynie, zwłaszcza na południu, ale to nie przeczy faktowi, że pojęcie bóstwa zajmuje w tej religji conamniej stanowisko podrzędne.

W religjach deistycznych jest wielka liczba obrzędów, które kompletnie nie zależą od jakiejkolwiek idei bóstwa lub istoty uduchowionej. Naprzykład w biblji nie pozostają w żadnym związku z wiarą w Jehowę takie nakazy, jak nakaz odosobnienia w czasie połogu, niezaprzęgania razem konia i osła, noszenia odzieży utkanej z konopi przeplatanych lnem i t. p. Ten rytuał, choć negatywny, nie mniej należy do religji. Taki rytuał nie staje się obowiązujący i przestrzegany przez związanie z bóstwem, lecz przez automatyzm sprawowania obrzędu. Taki wypadek w zakresie ofiary zachodzi w religji wedyckiej: Ofiara wywołuje tu bezpośredni wpływ na zjawiska niebieskie i jest wszechpotężną przez samą siebie i bez wpływu żadnego bóstwa. Ofiara nie wymaga tu bóstwa, a nawet może działać wbrew bóstwu.

Nietylko w religji wedyckiej, ale i w wielu innych praktyki religijne działają same przez się. Gdy podczas »święta namiotów« żyd poruszał powietrze wstrząsając gałęziami wierzby według pewnego rytmu, to w tym celu, aby wywołać wiatr, mający przynieść deszcz; naturalnie wierzył, że upragnione zjawisko jest automatycznym rezultatem obrzędu.

Są więc obrzędy bez bóstwa i co więcej są obrzędy, z których rodzi się bóstwo. Zatem idea bóstwa, czy wyższych od człowieka duchów, nie stanowi istotnego składnika religji i religijnych zjawisk.

Oba dotąd rozpatrzone sposoby ujęcia religji, pojmują ją jako pewną niepodzielną całość. Tymczasem jest ona zbiorem często luźnie z sobą związanych mitów, dogmatów, obrzędów i ceremonij.

By dojść do określenia, co stanowi istotę religji, należy podzielić zjawiska religijne na dwie kategorje: na wierzenia i obrzędy. Ten podział łączy się ściśle z podziałem, jaki religja przeprowadza wśród rzeczy, dzieląc je na święte i świeckie. Ta cecha świętości wiąże się z czemkolwiek, co jest uznane za święte. Może to być kamień, drzewo, bóstwo o wydoskonalonych cechach człowieczeństwa i wreszcie, jak w buddyźmie, pewne ideje i związane z niemi praktyki.

Obrzędy atoli nie są wyłącznie cechą religji. Występują one również i w magji. Religję od magji dzieli dążność tej ostatniej do pewnej profanacji świętości, profanacji związanej z pewną zawodową przyjemnością, oraz to, że nie istnieje żadna magiczna wspólnota moralna, żaden w tem znaczeniu pojęty magiczny kościół.

Emil Durkheim, wychodząc z takich założeń, dał następującą definicję religji:

Religja jest to solidarny system wierzeń i praktyk odnoszących się do rzeczy świętych, t. j. oddzielonych, zakazanych, wierzeń i praktyk, które łączą w jednej i tej samej wspólnocie moralnej, zwanej kościołem, wszystkich, którzy do niego należą.

W dzisiejszych czasach objawia się dążenie do pewnego indywidualizmu religijnego.

Religja byłaby więc pozbawioną charakteru społecznego, który we wszystkich dotychczasowych systemach religijnych był czynnikiem panującym. Jednak bliższa analiza tego indywidualizmu religijnego nie rokuje mu obrazoburczej przyszłości. Na taką indywidualną religję składają się dwa elementy: zapożyczona z jakiejś wysoko stojącej religji etyka i nieuświadomione należycie, nieodpowiedzialne wzruszenia metafizyczne. Przyszłością takiej religji może być albo wieczne niemowlęctwo albo coś w rodzaju »białej magji«.

Dr W. S.

WITOLD ZECHENTER

Kilka prostych słów o Tobie

W wieków szukamy Cię muzyce,
w jarmarcznym krzyku wielkich miast
i w ociężałej, wiejskiej ciszy —
w kościołach, zamkach, w mroku chat.
Jesteś tam wszędzie, gdzie — dążymy,
jak cel — sam w sobie: życie — *śmierć* —
w poezji naszej jesteś rymem —
w życiu poezji mocnym tchem.
Gwiazdy pod Twoją dźwięczą dłonią
i ziemi gnie się twardy łuk,
gdy Twe widmowe słowa dzwonią,
gdy mówisz, że Ty jesteś — Bóg!
Labirynt mroków Cię okrywa,
z wszechświata patrzy na nas — Sfinks —
w naszej legendzie wiecznie żywej
Twych źrenic światło wiecznie lśni.
Odrzuciliśmy Twe imiona,
które Ci nadał życia bieg —
Jahwe nie żyje, Budda skonał,
Chrystus pogrzebion w bajek mgle.
Nie wiemy, jak Ty się nazywasz,
chociaż Cię znamy, Boże nasz —
choć Cię tajemnic mgła okrywa
patrzymy nieraz sobie w twarz.
Słońce jak licha perła lśni się
u Twych nalanych dalą stóp —
Ty — Bezimienny — jesteś — życiem!
Ty jesteś jeden wieczny — Bóg!
Mózgi nam kryją złe okowy,
człowiek się próżno wżera w treść —
wiemy to jedno: jesteś — Bogiem —
a imię Twe nam powie — śmierć.

Coś z nagiej prawdy

Norbert Igłowski: »Ruina«. Powieść. Kraków, 1927. Księg. Jagiellońska. Str. 244.

Spróchniała bestja ludzka wyziera z każdego kąta życia. Na zardzewiałych sprężynach kołysze się w zawziętym chichocie dusza. Z dna błota i duchowego bagna wyciągnął bohatera swego Igłowski. Ale obszedł się z nim po ludzku. Na początku powieści usprawiedliwił go. Stosunki. Warunki. Wpływy. A potem, gdy bohater książki popełnia nikczemne uczynki i gdy zło triumfuje nad dobrem i gdy dobro żebrze o litość zła i zło w łaskawości plugawej pomaga dobru — bo obrazek ten mały, to jedno życie, które zawiera »Ruina«, możemy szerzej i głębiej ująć w zrozumieniu — potem bohatera swego nigdy nie tarza w kontrastach, nigdy nie bije go w twarz i nie ukazuje mu zwierciadła.

Wierzymy we wszystkie utopje. Jesteśmy młodzi. Jesteśmy nowem pokoleniem. Widzimy bagno. Co więcej! rozumiemy je.

I rozumiemy jego — potrzebę.

Słońce przegląda się w każdem bajorze!

A nie traci nic ze swego promiennego ciepła.

Wierzymy, że życie może być inne. Że może być wartościowe samo dla siebie.

Dookoła siebie widzimy ruinę. Tak, jak w książce Igłowskiego, napisanej nieprzeciętnie i zajmująco, choć częstokroć z fatalnemi brakami stylistycznemi, lecz widzimy nad ruiną — jutro. Przyszłość.

Ona do nas należy.

Jeżeli dziś nam jest dane to wielkie szczęście budowania zamków na lodzie, wierzymy, że jutro budować będziemy mogli szare, twarde domy nowego życia na silnych, na nieugiętych fundamentach.

W. Z.

ADAM POLEWKA

Cudowna Madonna z Panieńskich Skał

Zmrok ścierał ostatnie słoneczne plamy z zielonej miedzi dachu kościoła P. P. Norbertanek, gdy tramwaj jeszcze przepełniony pątnikami pędził po wałach nad Rudawą i dzwonił szczękiem metalowych zębów z przerażenia przed szkarpą, po której bał się stoczyć w dół ku brudnej wstążce wody. Granie dzwonów na „Anioł Pański" omdlewało w złotym pyle zachodu i szło, jak znużony pątnik, oprzeć się o ciche pnie Wolskiego lasu, gdzie czekała nań fioletowa zaduma i dwaj poeci z „Głosu Narodu", którzy wybrali się na poszukiwanie tematu do wiersza w niedzielnym numerze.

Od pierwszej chwili, gdy rozeszła się wieść o cudownej Matce Boskiej z Panieńskich Skał, zwiększył się niesłychanie nakład tego poczytnego i za polskość konfiskowanego pisma. Miejsce faszyzmu zajęła na jego szpaltach religijna senzacja. Prawie codziennie przepełniony był opisami nowych cudów i wywiadami z ludźmi cudownie uzdrowionymi. Raz nawet umieścił fotografję uzdrowionego cudem kaleki, który istotnie w sobotę chodził po mieście bez śladu kalectwa, a w niedzielę chromał, wyciągając rękę przy drzwiach kościółka św. Salwatora. Objętość tego dziennika wzrosła do takiej ilości papieru, że furę z tysiącem egzemplarzy ciągły dwa woły i jeden współpracownik.

Łaska Boża czuwała nad rozwojem serca Polski. Kraków nietylko stał się zamożnem miastem, nietylko przybyła mu, jak gospodarzowi tłusta świnka, cała dobrze rozwinięta dzielnica, ale nadto wszyscy krakowianie, łącznie z magistratem, dostąpili zupełnego odpustu. Wyjątek stanowiło kilku pogan z „Gazety literackiej". Łaski zupełnego odpustu dostąpił za wstawiennictwem naczelnego redaktora „Głosu Narodu" nawet Jalu Kurek obarczony zbrodnią zamordowania Amundsena.

Zwierzyniec i Wola Justowska rosły jak na drożdżach. Codziennie niemal nowy dom pokrywał się rudą dachówką. Trzydzieści wozów tramwajowych dwiema linjami, po wałach na Rudawie i koło parku Dra Jordana biegało tam i z powrotem od Rynku do Panieńskich Skał. Tysiące ludzi znalazło pracę, czy to nie darmo wyciągając ręce przy drodze do cudownego miejsca, czy też kupcząc dewocjonaljami i łakociami. Sam Pan Bóg, według zdania ludzi, rozwiązał kwestję bezrobocia w Krakowie. Nikt nie wiedział, że tę zasługę dzieli z Panem Bogiem p. Stanisław W., pulchny i szpakowaty właściciel pięciu hoteli na Woli Justowskiej.

— — — — — — — — — —

Barwny tłum fanatycznego chłopstwa tłoczy się w tumanach kurzu na drodze ku Panieńskim Skałom. Przed kościelną chorągwią kołysze się gruby przewodnik i przepowiada ochrypłym głosem słowa pieśni:

— Bernardka dziewczynka szła po drzewo w las. — Kilkaset spalonych pyłem, piskliwych gardeł przelewa jego słowa w żwawo kolebiącą się melodję.

— — — — — — — — — —

Wąwozem ku figurze Matki Boskiej, stojącej wśród Panieńskich Skał, biegła w letni wieczór zaszlochana i zadyszana dziewczyna. Zgubiła węzełek z całym skarbem służącej, z kilkunastu złotymi.

Las był już cichy i spokojny. Niedzielni wycieczkowcy, zadowoleni z zasypania go śmieciem i papierami, wracali do domu. Tu i ówdzie skarżyły się świeże rany połamanych krzewów i gałęzi.

Z poza drzew sterował na pełne morze granatowego nieba biały, tajemniczy żaglowiec — księżyc. Biały, okrągły pająk motał po drzewach srebrne nitki świetlanej pajęczyny. Nagle przez wyłom w koronie drzewa bryznął na omszoną skałę biały strumień światła.

Biegająca tu i tam dziewczyna zamarła z przerażenia. Na skale zarysowała się wyraźnie biała sylweta Matki Boskiej, depczącej syczącego węża. Biała plama przesuwała się powoli, szła przyklejona do skały w kierunku dziewczyny. Zdeptany wąż wymknął się chyłkiem z pod białych stóp i szukał w skale zbawczej szczeliny.

Po przerażonym lesie przeleciał histeryczny skowyt dziewczyny. Zasłoniła oczy rękami i rzuciła się do ucieczki. Nim kilka kroków ubiegła, wplątały się jej nogi w porzuconą gałąź. Głową uderzyła o pokryty patyną mchu kamień. Na kilka minut straciła przytomność.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała nawprost siebie oślepiająco białą figurę Matki Boskiej. Statua odcięta czarnym pasem cienia od skały, wisiała w powietrzu. Nagle głowa figury drgnęła przyzywającym ruchem i ręka wyciągnęła się ku dziewczynie.

Las przywarł uszami do ziemi i łowił tępy stuk walącego pod batystową bluzką serca. Nagle wrzask nieludzki poderwał go na nogi. Rozkołysane korony drzew wołały do zbudzonego ptactwa: na pomoc!

Potykając się co krok, kalecząc ręce i nogi, uciekała dziewczyna z lasu. Wypadła na aleję białych brzóz. Biegła między dwoma rzędami bladych mniszek. Dokoła niej płonęły migoty świętojańskich robaczków, płomyki gromnic kurczące się w podmuchu żarliwej pieśni.

— — — — — — — — — —

Nazajutrz rano cała Wola Justowska mówiła tylko o cudzie. Lotna wieść świegotała już po południu pod każdą niemal strzechą, dachówką i papą parterowych domków Zwierzyńca.

Pod wieczór gromada bab ciągnęła ze śpiewem do lasu. Biegły w takt melodji: „Bernardka dziewczynka szła po drzewo w las".

I znowu stał się cud. Tym razem oglądało go pół setki wytrzeszczonych oczu. Na skale zarysowała się całkiem wyraźnie biała sylwetka Matki Boskiej. Zjawisko powitał fanatyczny skowyt rzucających się na ziemię kobiet. Do godziny dwunastej w nocy czekała gromada bab i dzieci na powtórzenie się cudu, ale daremnie, bo p. Stanisław W. opuścił się bez szeleństu z drzewa i biegł w drugą stronę lasu, starając się jak najmniej brzęczeć dźwiganą w plecaku lampą projekcyjną.

— — — — — — — — — —

Nazajutz cud powtórzył się znowu. Trwał coprawda tylko przez kilka sekund, ale widziało go sto oczu. Na trzeci dzień zjawisko trwało już tylko przez dwie sekundy, ale świadkami cudu było już dwieście kobiet i dzieci. Na czwarty dzień, nim oddział policji zdążył przeszukać krzaki i drzewa, przesunęła się po skale jasna plama i zgasła w mgnieniu oka, Przez kilka następnych dni nikt cudownego zjawiska nie widział.

Po tygodniu zdawało się już, że wieść o cudzie utonie w chłodnej fali sceptycyzmu. Tymczasem zaszedł wypadek cudownego uzdrowienia. Stara wiejska kobieta poruszyła sparaliżowaną ręką, w chwili, gdy dotknęła się stóp figury. Nie upłynęło więcej, niż dwa dni, gdy w czasie żarliwej modlitwy przemówiła szesnastoletnia dziewczyna, która jako dziecko w czasie pożaru straciła z przerażenia mowę.

Odtąd codziennie wtórzyły wapienne skały pobożnym pieśniom. Pomimo zamknięcia lasu przez kordon policji w oczekiwaniu na decyzję władz duchownych i świeckich, tłumy przedzierały się przez szeregi i szły na klęczkach ku figurze. Kiedy zaś rozbiegła się wieść, że figura ma być usunięta, wieść niewiadomo czy prawdziwa, tłum zamknął las zwartym murem i kilka dni leżał obozem dookoła kordonu policji. Gromady pielgrzymów rekrutowały się przeważnie z chłopstwa, które szło pieszo niejednokrotnie aż z Podhala.

Atmosferą fanatycznych modłów, powietrzem przesyconem fluidem, przepojonem mgłą palących oddechów, szarpiącem nerwy, targał raz po raz radosny, oszalały krzyk uzdrowionego. W krótkim czasie stwierdzono kilka niezbitych faktów cudownego uzdrowienia. Władza kościelna i świecka ustąpiła bez obawy kompromitacji. Z hojnych datków pielgrzymów rósł, jak na drożdżach, kościół, który smukłą gotycką nawą przesłonił gwiaździste niebo nad figurą Matki Boskiej.

— — — — — — — — — —

Sprawcą tych cudów nie był wcale p. Stanisław W. Nawet on się za takiego nie uważał. Co więcej, pierwsze fakty udowodnionego przez lekarzy cudownego uzdro-

JERZY BRAUN

Otchłań

Dal przestała być dalą i padłem na wznak
gmach-człowiek rozzuchwalon w tysiąc pięter [błędów.
Rozsypało się z jękiem i straciło smak
słono-kwaśne „ja“, bełkot ludzkiego przy- [błędy...

Potwór-karzeł zrzucony ni stąd, ani z owąd
w otchłań rzeczy w czas wklętych nieruchomem drganiem
paplał głucho o Bogu, że Bogiem jest Słowo...
a Bóg tylko z gwiazd w gwiazdy szedł i dalej [za nie.

I był czar bezgraniczny, niepamiętny na nic
mimo życia i śmierci i mimo człowieka...
Ograniczał się formą, ale nie miał granic.
Wpatrzone w swoją głębię Bóg-oko-powieka.

O przyjdźcie, biczowania szalonych uderzeń,
o przyjdź, bólu bezkresny i zabij tę zmorę,
szał mrozi nerwy szeptem przeraźliwych zwie- [rzeń,
gdy niebo rzeką na mnie się zlewa wieczorem.

O wichry, wy rozmiećcie moje krwawe próchno,
wody, zstąpcie na dom mój i z krzykiem mnie [weźcie...
Jeśli są jakie usta, to niechaj mnie zdmuchną
w kłąb, kurzawę, chmur tuman i żeną po [mieście...

O jakiemż jesteś mnóstwem, jakiż chór grzmi [w Tobie,
Pełzaczu macki światów klejący do próżni.
Jakież wściekłe wesele w okrutnej żałobie
chrapie spazmem wylękłych u katedr i bóżnic.

Jeśli tylko drgniesz cudem i strącisz ćmię [z oczu
i staniesz Pełnią Pańską wiszącą w przestworze,
jeśli prawdy potopem biel myśli zamroczysz
i zgarniesz nas w swą otchłań rozszalały Boże:

Podniosą w górę głowy na sztywnych w pion [szyjach
i oczy w słup rozewrą i blask ich oślepi...
i poczną krzyczeć w głos, jak zwierz, co w kłąb [się zwija...
na jeden ton najwyższy, co pazur w zenit [wczepi...

O, płuca się rozpękną i gardła się wściekną
od tego ryku mnóstwa zmiażdżonych miljonów.
Byłeś łaskaw, o wszelki, że dałeś im piekło,
zostaw piekło i męki i panikę zgonu...

Niech nie wiedzą, co czynią, jak żyją i poco,
gdy ja tarzam się, prężę i gryzę rąk ołów.
O jakże Twoje ciosy okropnie druzgocą,
gdy z oszczepem wychodzisz po nocy na [połów.

Wymowa czynu

Kpt. pilot *Bolesław Orliński*: »Moje wrażenia z lotu do Tokio«. Nakład Ligi obrony powietrznej Państwa, str. 48.

Ta żywo i barwnie napisana broszura, nie mając bynajmniej pretensyj literackich, przecież w oczach naszych przetwarza się w poemat. Nie styl jędrny i malowniczy (w jakiby przyoblekł książeczkę taką np. Sosnkowski), nie plastyka i rozmach opisów — jeno szorstka, junacka wymowa czynu, oto — co nas zahacza pazurami jej treści. Ostry smak wielkiej przygody i patos bohaterstwa rozfalowuje nam wyobraźnię znienacka, gdy czytamy te proste, nieświadome wagi dokonanego dzieła, słowa. Więcej, niż najgroźniej wstrząsająca opowieść, mówią nam zwykłe notatki o tem, jak to się przeleciało stąd dotąd, tyle kilometrów w tyle godzin, jak po drodze przydarzyła się burza i tym podobne »drobnostki«. Bo pod powierzchnią tych zdawkowych zdań i ustępów banalnej prozy, wyczuwa się niezmierny trud i upór żelazny i wolę. Widzi się wirowiska zawieji i słyszy świst tajfunu; wie się o mrozie zesztywniającym palce i o otchłaniach śmierci dostrzeżonych poprzez warczący krąg śmigi. Książeczka kpt. Orlińskiego powinna natchnąć wielu poetów.

J. B.

Kraków u stóp Szymanowskiego

Było to mniejwięcej przeszło lat dwadzieścia, kiedy wykonano poraz pierwszy pieśni Szymanowskiego na koncercie Krakowskiego Chóru akademickiego, poświęconym wyłącznie pieśni polskiej. Pieśni »najmłodszych«, t. j. Szymanowskiego, Różyckiego, Fitelberga i innych »rzuciła na pożarcie« publiczności p. W. Hendrichówna, artystka Opery lwowskiej, a utwory te były na owe czasy mało strawne i niebezpieczne dla uszu krakowskich melomanów, wogóle dawniej i dziś i pojutrze dość czcigodnie konserwatywnych. Krytyka jednak, ta oficjalna, gazetowa, rzuciła kilka ciepłych, zachęcających słówek dla przedstawicieli »Młodej Polski«. Nie wiem, czy autorowie czytali to kiedy, ale faktem jest, że się zachęcili i rozpętali istny huragan twórczości do czasu onego. Różycki rozhulał się w operowej głównie twórczości, Fitelberg w symfonicznej, ale na krótko i skąpo, a Szymanowski skupił się w samotnych dociekaniach muzycznych i coraz to gęściej rozsypywał klejnoty dyssonansowej harmoniki, pogardzając gustem tłumu, nie licząc się z upodobaniami polskiej publiczności, śmiały w eksperymentach aż do zuchwałości, aż do takich momentów, gdzie zdawało się, że twórczość jego, to wyłącznie wyścig ambitnego nowatora, dążącego do nieznanego kresu oryginalności par force.

Od tego czasu upłynęło wiele a wiele... wody w polskiej twórczości muzycznej. Obok modernistów podążali i epigonowie Moniuszki czy Żeleńskiego, człapiąc wygodnie a powoli po grząskiem błotku rozmiękłych upodobań dobrodusznej publiczności i łaskawej krytyki. Niejeden, mający wówczas w młodej piersi iskry rozpędu niestarczego, tłumił z musu niezdrowe pożądania nowości, bo na gruncie rodzimym niewiele zrobiłby kroków i najwyżej poklepanoby go po ramieniu z uśmiechem że: »młodość musi się wyszumieć«.

Szymanowski wraz z towarzyszami niedoli młodotwórczej dotarli do zagranicy i stamtąd przesyłając swe drukowane w niemieckich firmach utwory do kraju, oślepiali przyćmione ciągłem przymrużaniem ostrożne oczy rodzimej melomanji. »Nikt nie jest prorokiem w swej ojczyźnie«, chyba, że wygłasza swe nowe objawienia z oddali, wtedy zgoda i wtedy... »i owszem«! Więc wyrośli nasi Młodo-Polacy wysoko w opinji naszej krytyki, wbrew niektórym oponentom z obozu starszych. Poliński w swych »Dziejach muzyki polskiej« nawymyślał Szymanowskiemu od międzynarodowców, a Niewiadomski, ważący na czułej wadze popularność swoich kompozycyj z pieśniami Szymanowskiego, nie chciał się przez długi czas dać przekonać (i dziś też bez przekonania »pochlebnie się wyraża«) do nowoczesnych środków ekspresji muzycznej.

Pełną zato parą zachwytów wybuchły artykuły doktorów muzyki: Jachimeckiego w Krakowie i Chybińskiego we Lwowie. Obydwaj polemizujący ze sobą z zapałem Krzyżowców o najdrobniejsze szczegóły odkrywanych przez siebie zabytków historycznej muzyki polskiej, na tym właśnie punkcie zgodni byli, że Szymanowskiego twórczość muzyczna otwiera nowy okres, że po Chopinie, jest to najwybitniejsza w Polsce osobistość.

Szymanowski, utrwalony w swych estetycznych poszukiwaniach, poczynał sobie coraz śmielej, stojąc ciągle na czele europejskiej moderny, a w Polsce zostawił za sobą wszystkich współzawodników, a wśród słuchaczy i wykonawców siał postrach i przerażenie z powodu niekończącej się u niego bachanalji harmoniczno-polifonicznej. Nie był jednakże tak bezwzględnym wrogiem koncesji artystycznej, jakby się napozór zdawało. Chcąc zaprzeczyć twierdzeniom Polińskiego, że »zaprzedał duszę Straussowi i Czajkowskiemu« na niekorzyść muzyki (t. j. melodyki i rytmiki) rodzimej, zaczął się interesować folklorem polskim i oto powstały »Mazurki fortepianowe«, stylizowane na swój sposób na motywach góralskich z Podhala. W ten sposób chciał może dać dowód upartym oponentom, że do porównania z Chopinem »ma prawo«. Wyszedł też z zaczarowanego koła »muzyki absolutnej«, przeznaczonej dla wybranych melomanów i sięgnął po laury kompozytora operowego.

Jakiś czas błąkało się u estetyków muzycznych zapatrywanie, że twórca operowy, to gatunek najniższy, bo połowiczne tylko ma zasługi w sukcesie i musi, a raczej powinien do wyobraźni słuchacza dobierać się przy pomocy interesującej treści i olśniewających dekoracyj. I oto powstała »Hagith« opera 1-aktowa i 3-aktowy »Król Roger« z przepięknemi chórami, od których dotąd wolna była wysokosiężna twórczość Szymanowskiego. Zaciekawienie i mir ogólny dla Szymanowskiego wzrosły niepomiernie, kiedy pokazało się, że świetny kompozytor jest też i znakomitym literatem w zakresie spraw muzycznych. Artykuły muzyczne dziennikarskie i książeczka o Chopinie dowiodła, jakim Szymanowski jest wytwornym stylistą, jak świetnie włada piórem, zwłaszcza w obronie swych zasad estetycznych.

W ocenie twórczości Chopina prowadzi Szymanowski polemikę z tymi, którzy jemu (t. j. Szymanowskiemu) zarzucają zbyt wielki objektywizm twórczości, brak bezpośredniej uczuciowości, zbyt abstrakcyjny formalizm pomysłów muzycznych i omijanie wszelkiej programowości i z tych zarzutów zbiera sumę zalet, nowoczesnemu kompozytorowi należnych, a które widzi bezwzględnie w dziełach Chopina, jako pioniera nowoczesności. Warto przeczytać to interesujące studjum, ażeby podziwiać niezwykły dar dialektyczny Szymanowskiego i dostojną sugestję polemiczną, rzadko u nas spotykaną. Inna sprawa z »przyjęciem do wiadomości« tej oryginalnej syntezy, bo nawet najgorętszy wielbiciel Szymanowskiego, dr. Jachimecki, w swej ostatniej pracy o Chopinie, nie przyznaje mu racji w odniesieniu do takich zapatrywań, mówiąc n. p., że: »byłoby fałszowaniem idei twórczej Chopina, gdyby dla względów modnego dziś formizmu zaprzeczało się faktowi programowości w koncepcjach Chopina«. To jednak nie umniejsza wielkości Szymanowskiego, jako wielkiego bojownika o ważność i czystość swych ideałów muzycznych. Jeden przecież krok w kierunku pewnych koncesyj artystycznych, wydaje mi się odskokiem od linji śmiałego bojowca, a tem jest harmonizowanie i produkowanie na estradach narodowo-patrjotycznych melodyj polskich. Nie wiem, poco tego podjął się Szymanowski, skoro mu z tem nie do twarzy. Daleko zgrabniej i szczerzej zrobił to Niewiadomski (proszę wybaczyć porównanie) i kilku innych. Mam wrażenie, że Szymanowski chciał znowuż zamknąć »buzię« tym krytykom w Warszawie, którzy, chcąc »pomniejszyć olbrzyma«, zarzucali mu obojętność w »odczuwaniu nuty narodowej«. Rzecz oczywista, że mieszano tu muzyczny element duszy polskiej (bądźcobądź w muzyce Szymanowskiego znamienny) z melodyką i rytmiką rodzimych piosenek ludowych czy narodowych jako zewnętrzne conditio sine qua non polskiej kompozycji. W każdym razie, nie tracąc szacunku należnego, uważam to za »faux pas« wielkiego Szymanowskiego. Odczuła też to podobnie i krakowska publiczność na ostatnim koncercie kompozytorskim i porwana »Pieśniami Muezina szalonego« i przedziwnie bogatemi w pozornej prostocie »Rytmami dziecięcemi« na produkcję »śpiewów narodowych« odpowiedziała brawem konwencjonalnem. Wyczuwało się, że to nie to, co miało być, a co nie mogło być tem, gdyż dalekim zbyt jest talent Szymanowskiego od wczucia się w takie nastroje.

Sumując wrażenia z ostatniego koncertu w Krakowie, na którym Szymanowski zaprezentował swą genialnie bogatą twórczość pieśniową od op. 5 do ostatnich arcydzieł, stwierdzić trzeba, że urósł niezwykle zastęp wielbicieli jego wysokiej twórczości, a raczej powiedzmy ściślej: zwiększyła się siła sugestji jego w każdym razie dla nas ciągle nowych, niespodziewanie fascynujących idei muzycznych. Uznanie, cześć i hołd dla tej niespożytej energji twórczej, prącej wciąż naprzód z pozornemi uchyleniami na rzecz pewnych upodobań czy uprzedzeń krytycznych, tej bojowej żądzy zdobywania nowych środków ekspresji muzycznej i przekonywania o tem słuchaczów... w Polsce. Zagranicą dano mu już patent nieśmiertelności, a u nas zwiększa się tylko koło tych, co mówią o twórczości Szymanowskiego z szacunkiem bezwzględnym, co chylą kornie głowy i cieszą się, że żyje śród nas Chopina godny następca przez oryginalność i czystość swej sztuki. Inna sprawa z odczuwaniem głębi tych kompozycyj, z poddaniem się tym wszystkim nastrojom, jakie hojnie genialny nowator przed nami rozsypuje. Dużo jeszcze upłynie wody w muzyce polskiej i w mózgach krytyków, zanim styl Szymanowskiego dotrze do »szczerze wdzięcznego słuchacza«, zanim jego muzyka ujmie bezpośrednio i bezapelacyjnie cały tłum, zgromadzony na sali koncertowej, czy w teatrze, tak, jak porywał Wagner i Chopin! Na razie przeważa u nas zachwyt snobów, nieszczery, choć głośny, pomruk zadowolenia niewolników, których mocny człowiek przytłoczył do ziemi z podziwu... i ze strachu.

Bolesław Wallek-Walewski.

Poemat o Szeli

Bruno Jasieński: »Słowo o Jakóbie Szeli«. Paryż 1926 r. Czcionkami »Imprimerie Menilmontant«, stron nieliczbowanych 98, okładkę projektował Zygmunt Waliszewski.

Poemat o wodzu mas chłopskich w 1846 r. poprzedza przedmowa autora, uzasadniająca stanowisko, zajęte przez niego, względem bohatera. Zdaniem Jasieńskiego, popartem świadectwem współczesnych pamiętnikarzy, między innymi Ludwika Dębickiego, Szela nie był zwykłym zbrodniarzem i prowokatorem, działającym dla własnego zysku, jak go przedstawia stronniczo oficjalna historja, ale »pierwszym świadomym i bezinteresownym bojownikiem interesów chłopstwa«, mającym na celu jedynie wyzwolenie klasy włościańskiej z pod jarzma pańszczyzny. Spór o prawdę historyczną, o takie lub inne »naświetlenie klasową koncepcją dziejów« pozostawiamy historykom; nie będziemy też silniej kwestjonować twierdzenia autora, że nawet »gdyby Szela nie był bohaterem, to i wówczas, w imię męczeńskiej epopei krzywdy chłopskiej należałoby go dźwignąć na wyżyny heroizmu«. Spór o to musiałby być przeniesiony na płaszczyznę społeczną i ideową.

Ale nawet przyznając poecie wolność przedstawienia swego bohatera takim, jakim go chce widzieć, żądać od niego musimy, aby go istotnie ożywił, jak to sam za swój obowiązek uważa. Tymczasem Szela Jasieńskiego jest mdły. Nie jest ani bohaterem, ani męczennikiem, ani wielkim, nie budzi grozy, ani poczucia siły i konieczności tej walki, którą podjął. I wypadki, które się rozgrywają, nie dają najmniejszego wyobrażenia o tym długo tłumionym w sercach chłopskich buncie, o żywiołowej sile jego wybuchu, napięciu namiętności i tragicznym przebiegu całego ruchu.

W poemacie Jasieńskiego wszystko to dzieje się jakoś dziwnie pogodnie, trwa bardzo krótko i kończy się nie wywierając głębszego wrażenia, jakby tu nie chodziło o wybuch dynamicznych antagonizmów i nienawiści klasowych i krwawą, bratobójczą rzeź, ale o jakiś błahy epizod, opowiedziany beztroskim tonem gawędy ludowej. Jeśli Szelę mamy pojmować, jako wodza masy chłopskiej, to chcemy go widzieć właśnie w akcji, w walce o prawa ludu, o wolność i ziemię.

A ten zasadniczy moment Jasieński jakby zbagatalizował. O samem powstaniu chłopskiem mamy parę zaledwie zwrotek, które bynajmniej nie malują ani wysiłku, poświęcenia i bohaterstwa tego, który podniósł sztandar walki, ani grozy dziejowego momentu.

Przyczynia się do tego wrażenia także i skoczny rytm strofy Jasieńskiego, zresztą bardzo udatnie stylizowanej na wzór pieśni ludowej i posiadającej duże walory formalne, bogactwo nowych rymów, porównań i skojarzeń. I tu jednak zdarzają się pewne załamania, jak w scenie erotycznej między żoną Szeli a jej kochankiem, kiedy Marysia skarzy się:

„Taka mdli mię straszna lubość,
jeno pójdź mię sobą ubość“,

na co kochanek jej odpowiada:

„Daj mi, Maryś, daj mi zbliska
twoich piersi kretowiska.
Jak dwie skiby twoja kibić,
dajże mi się pługiem wkibić“.

Przypomina to trochę cytat z odpowiedzi jakiejś redakcji:

„daj mi wzgórza twoich piersi,
a ja tobie powiem — merci!“

Do najlepszych fragmentów poematu należy żywo namalowany obraz miasta Lwowa i scena spotkania Szeli z Panem Jezusem, idącym na ratunek szlachcie.

St. Czosnowski.

Z literatury rosyjskiej

Widmo stolicy

Słowiańskiej duszy to twór — tęsknota za ojczyzną. I nie ta nudna, bezbarwna, bezkrwista, bez temperamentu tęsknota, przez lekarzy ochrzczona mianem »nostalgji«, ale tęsknota prawdziwie twórcza.

Kiedy bierzemy do rąk mały tomik Agniwcewa, »Wspaniały Petersburg« (»Blistatielnyj Sankt Petesrburg«) i patrzymy na pomnik Piotra Wielkiego na okładce, czujemy odrazu, że tu mowa o przeszłości, może bliskiej, ale ukochanej i wspaniałej.

Z mgieł wspomnień wyrasta w duszy poety jego ukochana stolica.

„A w moim smutku jak na planie
„Diujm“ kwadratowy — trzysta sążni“...

Podziałka smutku jest olbrzymia, jak i podziałka planu i autor smutnie, chociaż z pewnym sarkazmem, to podkreśla.

Mimowoli po przeczytaniu tych dźwięcznych, wprost ciosanych wierszy, przypomina się inny wielki entuzjasta »tworu« Piotra I — Puszkin.

Prawie sto lat temu, tak samo, jak Agniwcew stał Puszkin przed Falconctowskim pomnikiem Piotra Wielkiego, czytał krótki napis: »Petro primo — Catharina secunda« i myślał o potędze tego, kto »jak ten jeździec nad przepaścią u szczytu Rosji dęba postawił.«

»Piotr Wielki rzucił Rosji wezwanie i ona odpowiedziała mu Puszkinem« powiedział swojego czasu poeta Żukowskij.

Dlatego też Puszkin jest tak nierozerwalnie z Petersburgiem związany. Cień jego błądzi wciąż po ukochanem mieście i nic w tem dziwnego, że Agniwcew w swojej tęsknocie, włócząc się myślami po stolicy, wszędzie Puszkina spotyka.

„Petersburg, kobiet twoich „muszki“,
Pałace, Newski marmur schodów
I Aleksander Siergieicz Puszkin
Nad Newą stoi, patrząc w wodę“.

Jest w tych wierszach Agniwcewa smutek, tęsknota, pragnienia, całe naręcza wspomnień, nawet chwilami frywolnych, jest tu sentymentalizm zwykłego śmiertelnika, romantyzm poety, powaga historyka. W małym 60-cio-stronicowym tomiku zaklął Agniwcew dziwne miasto — Petersburg. Pokazał całą jego kapryśną empire'ową duszę, pokazał widmo tej ongiś wspaniałej stolicy, którą dźwigają na plecach szkielety stu tysięcy chłopów rosyjskich...

I chociaż są to pieśni wygnańca, pozbawionego ojczyzny — promieniuje z nich taka pogoda i takie dostojeństwo smutku, jakie mógł poeta osiągnąć tylko przez długie obcowanie z duchem Puszkina.

A. Ambrożewicz.

Pierwszy lepszy reporter

w miarę ograniczony a w miarę sprytny, dorwawszy się krzesła recenzenckiego wyczynia posuwiste bzdurstwa i nie liczy się z niczem, nawet z własną tępotą, dopóki go inni o niej nie przekonają.

Niejaki St. M. z „katowickiej Polonji“ napisał „recenzję“ z odczytu Sieroszewskiego: „Mussolini a Piłsudski“. Metoda pisania recenzyj przez pryzmat polityki odsądza od objektywności. Nieobjektywna krytyka, jeżeli nie jest umotywowana czemś innem, jak tylko powodem nieobjektywności, jest występkiem literackim. Mówić o Sieroszewskim „wielki powieściopisarz polski (według określeń organizatorów odczytu)“, odsądzać Sieroszewskiego od wszelkiej myśli w odczycie, który poruszał właśnie najżywotniejsze i najciekawsze zagadnienia współczesne — potrafi tylko domorosły ktobądź dziennikarski. „Oj, p. Sieroszewski mocno się już postarzał...“ — kończy swoją „recenzję“ dowcipny „recenzent“. Pan St. M. z Katowic na pewno nigdy się nie postarzeje. Są bowiem pewne typy ludzkie, które są nieśmiertelne, jak nieśmiertelnem jest naprzykład porównanie do osła, choć bydlątko to jest nieraz mądrzejsze od niejednego człowieka.

Stan. Por.

---

wienia, wprawiły go w przerażenie. Kalkulację swoją oparł tylko na głupocie chłopstwa i ani przez myśl mu nie przeszło, że spowoduje wyładowanie potężnych, tajemniczych sił. Chciał, aby Panieńskie Skały stały się miejscem odpustowem, bo zakupił w pobliżu kilka morgów gruntu, na których zamierzał wybudować obszerną karczmę z zajazdem. To też widzenie histerycznej dziewczyny w mgnieniu oka wykorzystał. Sprawcą tego pierwszego widzenia nie był, bo dopiero w dniu, gdy wieść o cudzie biegła już przez Wolę Justowską, robił w stodole próby z lampą projekcyjną. Takiego powodzenia swego oszukańczego kroku nawet nie przypuszczał, niemniej jednak, chociaż czuł zabobonny lęk, myślał i działał jak praktyczny kupiec. W ciągu roku wystawił na zakupionych koło Panieńskich Skał polach dwa zajazdy i dość porządny hotel dla „lepszych“ gości, bo i tacy zaczęli napływać.

Rok 1930 zaznaczył się ubytkiem gości w zajazdach i hotelach p. Stanisława W.

Europa ostrzyła noże. W trąbach miljona orkiestr, grających do upadłego wojenne i narodowe pieśni, wyła tęsknota za wyzwoleniem zwierzęcia z pęt cywilizacji. Tłumy falujące na ulicach miast piły spragnionym gardłem pieśni o krwi i mordzie. Pod naporem stu armij prysły więzy granic, jak pręty klatek. Czarne ptactwo samolotów grało straszną pieśń sinemu z przerażenia niebu. Od Gibraltaru do Uralu kopano groby. Wielki bóg zwierząt mścił się na człowieku, który w pysze cywilizacji tylekroć się go zaparł...

Upłynęło kilkanaście lat od czasu, gdy tajfun wojny przewalił się przez Europę.

Z pstrego rumowiska przeszłości, na pogorzelisku społecznych przewrotów podnosił się posępny, szary, żelazo-betonowy świat. Wyrosły na równinach olbrzymie graniastosłupy drapaczy, technika zaklęła w kamienne, groźne reguły najśmielsze architektoniczne pomysły. Dłuto dźwigane miljonami rąk wykuło w skalnych blokach tysiące tysięcy graniastosłupów, tysiące skalnych miast, żelazo i kamień spięły ziemię gęstą siecią pancerza. Nad dachami kilkudziesięcio piętrowych domów wiły się w wężowych skrętach napowietrzne, elektryczne kolejki. Przelatywały po pajęczej sieci szyn rozpiętej gdzieś między krańcami nieba i oślepiały migotliwym obrotem kół, unosząc się nad przepaściami ulic. Nad niemi, jak rój natrętnych much nad siecią pająka, brzęczały metalicznie samoloty. We wnętrzu drapaczy, żelbetowych brył, podziurkowanych mrowiem okien, podskakiwały ustawicznie z żywością histeryczek elektryczne windy.

A na dnie przepaści, na trotuarze i jezdni wlokło się i kłębiło czarne mrowisko. Daleko — daleko — na mile w okrąg niósł się hałas skalnego miasta. Ale ucho w tym głuchym, huczącym szumie nie mogło odróżnić pojedynczych elementów tego akustycznego zjawiska. Turkot elektrycznych kolejek napowietrznych przepadał gdzieś w przepaści ulic lub wiatr porywał go i stapiał w aliaż mosiężno-stalowego brzęku z burczeniem samolotów. Z dna przepaścistych ulic buchały w górę fale różnojęzycznych dźwięków i ślepem echem tłukły się o skalne ściany, nim śruby aeroplanowe zmęły je na jeden dźwięk z metalicznemi gamami.

Indywidualizm przytulił się gdzieś w zaułku do skalnej ściany drapacza i bał się spojrzeć w górę, by nie zobaczyć nad sobą brudno-błękitnego skrawka nieba, wyciętego tępemi nożycami dachów w farbowanym łachmanie.

A dusza ludzka?

Szerokie radjofale unosiły się w przestworzu, krzyżowały i przewalały, jak myśli w olbrzymim mózgu. Znagła schwytane osiadały na antenach, jak na progach świadomości i rodziły tysiące zjawisk, tysiące ruchów i refleksów.

Powoli zatracała się odrębność myślenia. Olbrzymi mózg pracował masowo i każda jego cząstka miała swój działek pracy. Z pojedynczych cegiełek, wyrobionych na jednostkowym warsztacie, bez znaczenia samych dla siebie, bez wyrazu składał Wielki Mózg monstrualną budowę, jeden wyraz.

Ludzie poczuli się kółkami machiny i zmechanizowali się. Sposępnieli. Twarze ich stały się szare, jak fasady drapaczy. Mózg zaczęli uważać za jeden z miljonów aparatów nadawczo-odbiorczych. Tylko czasem zabłąkało się do bruzd mózgowych, jak promień słońca w przepaść kamiennej ulicy coś nieuchwytnego dla żadnej anteny i nie do wysłania dla żadnego aparatu, coś jak radjofala zabłąkana w bezradną antenę, na której utknęła po długiej wędrówce w pozaziemskich przestrzeniach eteru.

Dusza —

— ponura, fanatyczna zjawa, kalecząca sobie bose stopy na ostrych głazach drapaczów, olbrzymia, sięgająca innych planetarnych systemów. Chodziła po rumowisku kamiennych miast, nie objęta prawami fizyki, nie psująca samolotowej komunikacji i obojętna na radjofale, niewidzialna, ale ciążąca nad ziemią, jak mglisty, duszący opar, ślepa, ale wrażliwa na promienie gdzieś z poza świata.

Znowu osiadała na miljonach piersi, nocą kładła się na kamienne łoże z głazów posępnych miast, a w dzień wyła pokutniczy psalm paszczami fabrycznych syren.

Gdzieś rzucił się w przepaść niebotycznych ulic człowiek amerykańskiego renesansu, dziecko rozkochane w potędze sklejonych cacek, rozśmiany tytan-barbarzyńca, zuchwale popędzający wahadła czasu, zarozumiały triumfem techniki, człowiek wieku samolotów i radjotelefonji.

Rzucił się w przepaść ulicy ze szczytu drapacza i zamarł w grozie, bo zdało mu się, iż lata światła upłyną nim głową uderzy o bruk. Z tak wielkiej wysokości leciał w przepaść.

Zaszło słońce renesansu.

Zaczęło się popielcowe średniowiecze.

Człowiek wszedł sam w siebie, w pustą, splugawioną chwastem świątynię i zobaczył żarliwą tęsknotę, wlokącą się na kolanach od ołtarza do ołtarza z oszalałym krzykiem:

RORATE CAELI!

W pokutniczej szacie, o surowym obliczu mnicha szło średniowiecze.

Biczowano się, kajano i oczekiwano czegoś, co miało przyjść.

Czas adwentu —

Fanatyczna askeza mnicha o skrzepłych w żelbecie rysach.

Mrowisko deptane przez Duszę Wszechświata wgryzło się miljonem paszcz w proch i wyło o —

— o! — o! — o!

Aż znagła poczuła w łonie swoim ferment i przeraziła się pytaniem, co przyjdzie jej porodzić — ona, wieczna i niezniszczalna — materja.

— — — — — — — — — —

Matka Boska z Panieńskich Skał jak dawniej słynęła cudami.

Drzewa oparte łokciami konarów na budach handlarzy drzemały jak dawniej w pyle drogi wiodącej przez Wolę Justowską.

W lipcowe, palące południe z odkrytą głową i boso szedł z tłumem pielgrzymów Stanisław W., ongiś bogaty właściciel kilku hoteli. Wysadzone na wierzch, nabiegłe krwią jego oczy żebrały łaski i konały z przerażenia. Od kilku lat Cudowna Matka Boska nietylko darzyła łaską, ale i smagała karami.

— — — — — — — — — —

Gdy stary ksiądz podniósł omdlałego u stóp figury Stanisława W., on dał mu do zrozumienia bolesnym skurczem twarzy i rozpaczliwym ruchem ręki wtłoczonej w usta w nadziei pochwycenia słowa, że stracił mowę.

Wieczorem tego dnia niemy pątnik spowiadał swe grzechy siwemu księdzu, klęcząc na ścieżce, wiodącej ku kościołowi. Niemowa rył kijem pielgrzymim w piasku akt samooskarżenia. Gdy wyczerpany wysiłkiem osunął się na ziemię, ksiądz nogą zacierał ślady liter. Potem dotknął się z bezbrzeżnem współczuciem ramienia leżącego:

— Oby zapomniał Pan w Niebiesiech i oby zapomniało serce ziemi o grzechach, któreś wyrył na ścieżce ku wieczności.

Cicha noc kładła kojącą dłoń na wstrząsanych szlochem ustach.

Oparty na rydlu Chrystus-ogrodnik z ołtarza Wita Stwosza rzucał w granatowy zagon nieba błyszczące nasiona gwiazd.

Z teatrów warszawskich

Ostatnie dwa tygodnie nie przyniosły w życiu teatralnem Warszawy nic ciekawego. Wystawiona w Teatrze Narodowym komedja K. Wroczyńskiego p. t.: »W miłosnym labiryncie« jest sztuką, o której krytyk niewiele ma do powiedzenia. Można się tylko przy tak dobrej okazji — raz jeszcze zastanowić nad tem, do czego prowadzi niewolnicze stosowanie zasad o popieraniu polskiej twórczości dramatycznej. Można i należy rozpisywać konkursy dramatyczne; trzeba wystawiać utwory młodych pisarzy, by je poddać publicznej krytyce i próbie realnego życia na scenie, można nawet wystawiać świadomie utwory słabe, jeśli zdradzają choćby wątłą iskierkę talentu. Ale p. Wroczyński nie jest bynajmniej początkującym pisarzem; utwory jego poddawano już tej próbie i wynik był zawsze jednaki. Można po tych próbach powiedzieć z całą pewnością, iż ani w literaturze, ani na scenie dramatycznej autor ten nie ma nic do powiedzenia. Poprzednie jego utwory usiłowały ratować się frazesem patrjotycznym i ułańską szabelką! Był to czas, gdy pobrzękiwanie nią było w modzie na scenie; ale p. Wroczyński dosiadał jej, jak konia, co oczywiście nie wychodziło mu na dobre. Ostatni jego utwór — tym razem »cywilny« — zupełnie już nie wiadomo poco jest napisany. Tym sposobem popieranie rodzimej twórczości staje się popieraniem bezwartościowego i szkodliwego snobizmu. Może się z tego urodzić jeszcze kilku snobów, lub kilkunastu grafomanów, ku utrapieniu sądów konkursowych i dyrekcyj teatrów, ale prawdziwy talent z tego się nie narodzi. Na talent trzeba poczekać: mieliśmy Fredrę i Wyspiańskiego — może się dobry Bóg nad nami jeszcze raz zlituje; a rzemiosła teatralnego — które wszak stanowi lwią część dorocznego repertuaru — trzeba się uczyć od tych, którzy je znają.

Wielka ilość premjer i szczupłość szpalt »Gazety Literackiej« nie pozwalały mi dotychczas wspomnieć o kilku innych teatrach warszawskich, które przywykliśmy uważać niesłusznie za drugorzędne. Na pierwszy plan śród nich wybija się bezsprzecznie »Qui pro quo«, dorównujące, mimo szczupłości środków, najlepszym wzorom teatru artystycznego. P. Ordonówna jest już dziś pieśniarką na miarę pierwszorzędną, a talent jej wzbogaca się i wzrasta z każdą nową piosenką, Scenki »nastrojowe« — jak w ostatnim programie »Jesień samotnych« lub »Cokolwiek Szopena« są pomyślane świetnie i doskonale wykonane. Po szeregu kabaretów i teatrów rewij, gdzie uświęconym tradycją obyczajem było powszechne lenistwo, zbywanie publiczności staremi konceptami i kręcenie się w kółko na jednem dość ciasnem miejscu — trzeba z tem większym naciskiem podreślić zasługę tego teatru, iż nikt tu nie spoczywa na laurach, każdy stara się dać ze siebie, co ma najlepszego, każdy szuka własnego wyrazu artystycznego i nie ustaje w pracy nad powiększaniem zakresu swych środków. A przytem wszystko tu utrzymane jest na świetnym poziomie literackim. To też, gdy właśnie zawitał do Warszawy dawny filar »Niebieskiego Ptaka«, W. Chenkin, mogliśmy go słuchać z tem większym podziwem, jako że znamy już nieco arkana tej sztuki. Tak wczuć się w duszę każdej piosenki — tak ją we wspaniałym skrócie scenicznym podać — to już nie jest sztuka odtwórcza, lecz twórczość najistotniejsza, przerastająca swym artystycznym walorem wartość samego tekstu piosenki. Ten wielki artysta, w niepojęty sposób przeistaczający się z błazna w Berangera, z chasyda w Kinta — zmieniający nietylko wygląd, lecz i ruchy, mimikę, postawę i głos przedewszystkiem — na długo jeszcze pozostanie wzorem szlachetnej, pięknej kultury scenicznego gestu. Tę sztukę *uprawia właśnie »Qui pro quo«, i w wielkiej* mierze dzięki zasługom Fr. Jarossy'ego stale zdobywa sukcesy na tej drodze. Nie można tego niestety powiedzieć o secesji z »Qui pro quo« — »Perskiem Oku«. Jest to teatr rewij, wzorowany głównie na zagranicznych imprezach tego rodzaju; ale nie mając ani odpowiednich środków, ani dostatecznej liczby »etrangerów«, którzyby stale mogli zasilać widownię i kasę, ani wreszcie wybitniejszych sił kierowniczych — teatr ten stale błąka się między »Casino de Paris« a »Niebieskim Ptakiem«, bez nadziei przedostania się do wnętrza tych teatrów.

Udała się natomiast, jak się zdaje, inna secesja: zespołu farsy z Teatru Letniego. Po kilku dość karkołomnych próbach i nieszczęśliwie dobranych sztukach — ostatnio wreszcie w farsie »Mecenas Bolbec i jego mąż«, znalazł Teatr Ćwiklińskiej i Fertnera to, co jest głównem prawem jego do życia: pozwolił się »wygrać« p. M. Ćwiklińskiej. Warszawa, która co roku uprowadza z Krakowa najlepsze siły teatralne, a w tym roku uwiodła nawet dyr. Trzcińskiego, nie cieszy się zapewne — jak każda szczęśliwa rywalka, zbyt dobrą opinją śród publiczności krakowskiej. Tem śmielej tedy i z otwartem czołem możemy się przed Krakowem chwalić świetnym talentem p. Ćwiklińskiej, jako żeśmy jej mu nie ukradli.

J. Pański.

Powieść na ekranie

Ostatnio widownia i krytyka gorąco dyskutuje kwestję przeróbek filmowych z powieści. Pretekstem było ukazanie się kilku znakomitych dzieł: »Braci Schellenberg«, »Rybaka Islandzkiego« i tętniącego *serca*«.

Kellermann, Loti i Selma Lagerlöf na ekranie! Ale w jakże zmienionej postaci. Ktoś — zdaje się, że Bruno Winawer — oburzał się, że w filmie »Bracia Schellenberg« śladu powieści doszukać się nie można. Miał on przedewszystkiem na myśli to, że akcja srogim uległa zmianom.

Ale te właśnie zmiany były konieczne. Śmiały, inteligentny reżyser Karl Grüne, doskonale zrozumiał, że chcąc uniknąć konieczności posługiwania się napisami, chcąc przedstawić powieść wizualnie, musi się wiele fragmentów z książki usunąć, a kilka nowych wstawić do scenarjusza.

Tak postępuje reżyser, który z pietyzmem odnosi się do dzieła autora, który nie chce go pogrzebać przez niewolnicze naśladownictwo, lecz chce zrealizować wizję poety zgoła specyficznemi środkami.

Nie posługuje się on napisami, ale konstruuje szereg nieomal żywych, głębokich, jasnych symbolów.

Małe jednak zastrzeżenie. Trzeba się wystrzegać dowolności. Film p. t.: »Jej ojciec« to nie jest powieść »Tęskniące serce« Selmy Lagerlöf, (zrealizowana odrębnemi, innemi środkami), ale zgoła inny utwór z pierwowzorem nic nie mający wogóle wspólnego.

Lagerlöf napisała baśń poetycką, a na ekranie widzimy realistyczną, nawet brutalną, naturalistyczną, przesiąkniętą intelektualizmem — opowieść.

Są jednak ludzie, którzy swoje zadanie reżyserskie świetnie zrozumieli. Poprzestaję na wyliczeniu: Abel Gance, Marcel L'Herbier, Dupont... Dla nich utworzenie filmu nie było kwestją »sfotografowania powieści«, ale polem do samodzielnej pracy, któraby w rezultacie dała dzieło autora (nie akcję, ale tendencję, typy i t. d.) o samorodnych elementach składowych.

Nie o literaturę z obrazkami, ale o dzieło filmowe, o nowe konstrukcje im chodziło.

Wysiłków swoich chlubne świadectwo dali niejednokrotnie: »La Roue« — »Varieté»... Czasami jednak reżyserzy błądzili. Ale te chybione realizacje były tylko konsekwencją wyboru nieodpowiedniego utworu literackiego. Przy wyborze powieści nie decyduje powaga dzieła przerabianego, ale to: czy głównym i nieodłącznym walorem książki jest słowo, które zastąpić się nieda, czy też można znaleść jakiś odpowiednik słowny (symbol).

Z tego punktu widzenia taka błaha rzecz, jak »Świt, dzień i noc« Niccodemiego, źle wyjdzie na ekranie, tak samo zresztą, jak fatalnie wypadła przeróbka lekkiej komedji Savoire'a »Wielka księżna i chłopiec hotelowy«. Gdzieś bowiem zapodział się cięty dowcip komedji Savoire'a. Nie było go w filmie, w sytuacjach, dowcipne były tylko napisy.

Napisy*) jednak nie są częścią składową filmu, ale jego balastem obciążającym, jego »malum necessarium«, napisy — resztki nieprzetrawionej literatury.

Są wszakże ludzie, którym się takie zwłaszcza filmy podobają.

Ci właśnie dowodzą, że kina nie rozumieją.

Józef Fryd.

*) Patrz mój artykuł „Ośle mosty" w Nrze 8 „Gazety Literackiej".

MIECZYSŁAW JASTRUN

Wiosna

Gdy czarnemi chabrami taje biała zima,
I pierwsza trawa z ziemi dobywa się z mocą,
Odór nabrzmiałej gleby, jak soki owocu,
W krew wlewa żywe złoto i nozdrza rozdyma.

Od pól brunatnej pracy ku słońcu rannemu,
Co jak burak rumieni chmur zielone grzędy,
Ostrze orki podważa warstwę czarnoziemu,
Robiąc skibę za skibą jak wiersze Enejdy.

Bronzową grzywę gleby żelazem nawleka
Brona, w usta brózd głodne pada gęste ziarno,
Aż pierwsza ruń wiosenna, jak burzliwa rzeka,
Zewsząd obleje ziemię surową i czarną.

Wyżej wzbija się zieleń wątłych źdźbeł i kłosów,
Goręcej praży słońce w południa majowe,
Aż kłosy przemienione na chleby razowe
Prześwietli miłość ludzka, jak światło niebiosów.

Lato

Jeszcze w słońcu, co świeci jak białe polano
W błękitnym ogniu, gęsta dojrzewa pszenica,
Gdy rząd tnących żniwiarek, jak ciężka konnica
Z żelaza — rusza klinem na czworobok łanu!

W świstach białych błyskawic, w wzrastającym [chrzęście,
W morzu srebra i złota wre walka gorąca
Wręcz. Ława żytnich kłosów sucha i bły- [szcząca
Śmierć pod ostrzem narzędzia przyjmuje jak [szczęście.

Na tyłach walki, zlany czerwonym ukropem
Rząd pieszych żeńców stąpa. Słychać sierpów [granie.
I na skrzypiących wozach powiązane snopy
Ciężarem ziarna marzą słodkie dojrzewanie;

I jeszcze czują drżenie, co sypkiemu złotu
Nasienia dało siłę, której żaru trzeba,
By przetarta na mąkę, z pod tarła omłotu,
Nabrzmiała w czerstwy bochen powszedniego [chleba.

Jesień

Po dniach owocobrania, nabrzmiałych od soku,
Gdy spadające jabłka jak w bęben zwycięski
Biły w złotą murawę, a kwaśny i męski
Zapach niósł się nad sadem więdnącego roku,

Spływają noce czarne, szumią ranki mgliste,
Orane ostrzem pługów ciężko i leniwie;
Z miechów nocy, wyparte w gwałtownym po- [rywie,
Wichry szturmują w buki i jodły strzeliste.

Z grząskich grzęd kartofliska, wyrwane motyką,
Toczą się bure bulwy, co z dymem ogniska
Po twardziźnie wygonów i sierści ścierniska
Rozniosą woń jesieni miedzianą i dziką.

Wiosna, lato i jesień, orka, siew i młócka,
Posępny trud najmity i radosna praca
Nieomylnych narzędzi — to wszystko powraca,
Powraca lęk, i wieczna, twarda troska ludzka.

Zima

Polami, co śpią twardo w odrętwieniu ślepem
W sto koni goni wicher, zły jeździec bez czapy,
To w grud klepisko śniegiem uderzy jak cepem,
To zawyje w kominie w iskrach smolnej szczapy.

Tymczasem — w domach z cegły, po zagrodach [z drzewa,
Twardzi ludzie na nowe gotują się trudy;
W ciżbie izb zadymionych, wśród dzwoniącej [żmudy,
Świszcze świder i piła przeraźliwie śpiewa.

Tępo uderza ostrze siekiery w pień buka,
Jeszcze woń lasu spływa z rozłupanej sosny,
Rośnie praca łagodna, jak uścisk miłosny,
Drzewo tęskni do dłoni, dłoń narzędzia szuka.

Wieczorem — z mroku obór bije ciepło gnoju,
Żują woły, parskają wypoczęte konie;
O wszystko muszą troszczyć się wytrwałe [dłonie,
Oczy, czoła zmywane strumieniami znoju.

Z teatrów krakowskich

TEATR IM. JULJUSZA SŁOWACKIEGO

„Akropolis" Stanisława Wyspiańskiego.

Wielka to była odwaga i wielkie ryzyko wystawiać całość »Akropolis« Wyspiańskiego. Nasuwały się tu dwie główne trudności: wykorzystanie zespołu i wykorzystanie sceny łącznie ze stroną dekoracyjną. Jeżeli chodzi o punkt pierwszy: wykorzystanie sił aktorskich, musimy z przykrością stwierdzić, że brak solistów w obecnym zespole (poza 3—4 artystami) dotkliwie zaciężył na realizacji scenicznej wielkiego dzieła.

»Akropolis« — to szereg scen. W każdej scenie inne osoby. Żaden artysta nie ma tu roli zbyt rozciągłej. Stąd pierwsze wrażenie, że wystarczy dobry zespół. Tymczasem tu był haczyk. Na najdrobniejszej nawet roli, na artyście, mającym choćby tylko jednę kwestję, spoczywa zarówno cały ogrom dramatu i nacisk dośrodkowy, który artystę tego przygważdża do całości sztuki i do jej podskórnych, ważkich idej. Nawet ta bagatelna — zda się — scenka średniowiecznej serenady ma swą umotywowaną w konstrukcji dzieła ważność i w szeregu drobnych i większych kółek w tym wielkim zegarze — tworze genjuszu, nie liczącego się z niczem — musi być tak postawiona, żeby nie było słychać zgrzytów w całym mechanizmie. Koło o koło się zazębia — i w harmonji całości widać dopiero całość. Więc nawet do rolki mieszczaneczki z okienka trzeb, było talentu solistki. Poza pięciu artystami podpierającymi, jak filary gmach całości, inni byli bardzo słabi i czasem aż rażący. Widać było wysiłki i trud podwójny: znakomitego reżysera (Sosnowskiego) i samych artystów. Ale... Pp. Hałacińska, Nowakowski, Sosnowski, Socha i Jednowski — dali maximum wrażenia. A trzeba pamiętać, że dla widza »Akropolis« egzystuje tylko wrażenie; dla czytelnika — zrozumienie i łączność z dramatem. Widz, który nie czytał uprzednio »Akropolis«, sterczy w fotelu, jak głupi i niekiedy wydawać się mu musi, że na scenie wszyscy powarjowali (szczególnie w najzawilszej odsłonie trojańskiej).

Jeżeli chodzi o punkt drugi, o drugą serję trudności: wykorzystanie sceny i dekoratywne rozwiązanie problemu inscenizacji dramatu, przyznać musimy, że było ono przy maximum utylitarności wysoce artystyczne. Scena w katedrze w posągowości figur później ożywających, była wspaniała, była tak świetnie ujęta, że efekt ulegał do pewnego stopnia zmianie na gorsze, gdy kolejno z figur drzemiących wiekowemi snami, ożywały postaci jakby ludzkie. W scenach trojańskich, gdzie scena wymaga rozłożenia na trzy płaszczyzny równoległe i przynajmniej dwie prostopadłe, rozwiązano trudność równie pomysłowo, przyczem efektami świetlnemi uwypuklono jednę z najwięcej wrażeniowych scen — modlitwę zegarów krakowskich. Szkoda tylko, że przy odpowiedniem i na głębokiem wczuciu się w dzieło opartem zestylizowaniu muzyki (B. Raczyńskiego) i w ramach całej tej silnej dekoratywnie sceny głosy wypadły bardzo źle, z wyjątkiem solo »Dwoń, dzwoneczku, dzwoń« przy pierwszej sygnaturce (zdaje mi się p. Kostecka) i solo »Zygmuncie!« Raził także niezdarną plamą rozkraczony na pół-drugim planie stary Priam, przy doskonale sharmonizowanej postaci p. Kosmowskiej.

Wogóle wiele braków, jakie można było zauważyć, nietylko na premjerze, lecz i na następnych spektaklach, powód swój miało w zapominaniu czasem chwilowem, a czasem dłuższem poszczególnych aktorów, że ani na chwilę nie można opuścić się w sobie, że nie można zbagatelizować żadnego ruchu, gestu, akcentu w głosie, że trzeba wciąż pamiętać, że jest się jednem kółkiem w mechanizmie niezwykle misternym, Wyspiańskiego, i — w »Akropolis«.

Końcowe sceny, w katedrze wawelskiej, podniosły wrażenie całości. A wprost genjalnie wypadła ostatnia scena — zjawienie się Apollina—Chrystusa i obraz świetlny witrażu Boga-Stworzyciela Wyspiańskiego, rzucony na przepaście ciemności, ażeby Harfiarz mógł wypowiedzieć ostatnią zwrotkę nietekstową scenicznie, lecz należącą do objaśnień autorskich (znaczoną w oryginale kursywą). Ten efekt, ta gama naprężeń — od zewu Harfiarza — na tle wzbierającej burzy tłumu pod katedrą — przez świetnie stonowany trzask pękających trumien i walących się ścian i filarów — do zjawienia się promiennego Boga Hellady i Golgoty — a potem chwila wyczekiwania — i zjawa witrażu franciszkańskiego, zamknięta apostroficznie głosem Harfiarza — ten efekt, rozłożony na minutowe drgnienia, na stopnie wysiłków, na pasaże przeskakujących w wzmaganiu się wrażeń, był europejsko doskonały.

Dyrekcji wraz z kierownictwem literackiem, drowi Nowakowskiemu i drowi Świątkowi, za odwagę pomysłu i doprowadzenie go do skutku, reżyserowi, p. Sosnowskiemu, za zrozumienie całości nowoczesne i śmiałe, i dekoratorowi, p. Kudewiczowi, za wspaniałe efekty i obraz zjawiającego się Boga — naszej krakowskiej scenie pracy i inwencji — cześć!

Witold Zechenter.

Wiedeńskie obrazki

»Jestem Europą — ale już nie Miastem«. Taką była dewiza wystawy stylowej »Stary Wiedeń (1814—1914)«, urządzonej przed wojną w olbrzymim ogrodzie Prateru. Wyrazić miała smutną, nieuniknioną, powolną przemianę swojskiego Miasta na wielobarwne środowisko o charakterze międzynarodowym.

Niedawno oglądaliśmy w Secesji ciekawą wystawę obrazów »Miasto«. Zestawiono dzieła różnych epok, mistrzów, kierunków. Kątem widzenia było pytanie: Jak wyglądał Wiedeń w ciągu lat i wieków?

Amerykanizuje Miasto celowy typ słynnych »warowni proletarjatu«, kamienic obecnej socjalistycznej Gminy, stawianych z rozmachem na miejscu romantycznych domeczków z ery »Dreimäderlhaus«. I już sztuka stosuje nowy styl meblowy do nowoczesnego mieszkania: prosty (ultra-prymitywny) — hygjeniczny (oczywiście) — celowy (zasada). Odczyty, wystawy, miejska wytwórnia, dogodne warunki — rozpowszechniają ten nowy styl ludowy wiedeński.

Nieco o kinie. Sascha przeniósł tutejszą wytwórnię do Berlina. I tam może kręcić filmy dunajowe — od czego technika? Czy stąd, czy stamtąd — równocześnie widzą je ziemskie narody w setnych odbitkach, najętycb przez biura filmowe. W wieku radja niema odległości i już wstrząsa może »szlagier« filmowy nerwami Krakowa, nim kopja jego trafi przez manowce handlowe do Wiednia.

Ostatecznie także Charlestona tańczy się taksamo nad modrym Dunajem, jak nad brudną Sekwaną i na uroczem wybrzeżu Florydy. Tęskny walc Straussa do Wiedeńskich Lasów (Wiener-Wald-Walzer) szarpie się w więzach dwutaktowych rytmów, w mistrzowskiej przeróbce Jazz-Króla: dla tragedji filmowej, dla Przyjaciół Muzyki, dla antraktu w Burgteatrze, dla dancingu w Bristolu... Historję Tańców wyświetla w naukowym filmie Dom Wykształcenia Ludowego »Urania«, najczynniejsza z instytucyj kulturalnych.

Odbył się tu III. Kongres Międzynarodowego Związku dla Współpracy Kulturalnej (18—20 października). Polskę reprezentowali: J. Iwaszkiewicz, L. Morstin, T. Zieliński. Rezolucja: Dążenie do stworzenia kulturalnej Paneuropy. Do pracy tej czuje się rzekomo powołaną Austrja (słowa twórcy Związku Rohana) — podobnie jak powołaną ma być do stworzenia politycznej Paneuropy (słowa Coudenhove-Kalergi'ego na I. Kongresie Paneuropy, Wiedeń, 3—6 października). Czyżby jeszcze — AEIOU?... (Austriae Est Imperium Orbis Universae, Austria Erit In Orbe Ultima).

W ruchu stowarzyszeń kulturalnych często biorą udział tutejsi polscy pracownicy umysłowi z — kawiarni Central i z — poczekalni Biura Prasowego przy naszem Poselstwie. Bez reklamy — inaczej wymieniłbym tych, którzy zamieścili »nieśmiertelne utwory« w wydanym przez Hernicza »Polskim Przewodniku Wiedeńskim«...

Wiedeń niema obecnie pisma literackiego. Czyta się »Literarische Welt. Dwutygodnik »Der getreue Eckart« jest zbiorem powiastek. »Die Bühne« — sprzedajna od pierwszej do ostatniej karty... Natomiast wybitnem pismem jest »Betauers Wochenschrift — Probleme des Lebens«. Pierwszy wydawca, zdolny Betauer, autor znanych powieści, padł w ubiegłym roku ofiarą zamachu ze strony »mściciela ludu za szerzenie pornografji« — jak określił morderca. Jednak »Problemy Życia« wychodzą dalej i nie są pornografją. Na niewyczerpanych przykładach rozwijają problemy społeczno-obyczajowe, w formie lekko pisanych nowelek.

Alha.

JULJUSZ FELDHORN

Śmierć Rolanda Karr

Kiedy Roland Karr szedł na śmierć, biły dzwony sześćdziesięciu armat. Nad konającą Szampanją krwawił zmierzch. Wąż okopów kostniał w jesiennym przymrozku.

Czuł zimno noża przez rękaw żołnierskiego płaszcza. W mapę terenu, widną w pamięci, jak ostatni pocałunek matki — na zadymionym dworcu — w zgrzycie ruszających z miejsca kół — wdarł się liryzm zapisanych, zniszczonych kart życia.

Sam. Paszcza potwora nie rozwarła się jeszcze, aby go pożreć.

Pochylić głowę pod zbyt niski parapet. Ciche, ochrypłe hasło. Od wilgotnej, obsuwającej się wyrwy odlepia się gruda żółtego błota. Zmącone gorączką oczy. Czarne palce na cyglu karabinu. Ostatni człowiek na przedpolu.

Chlupot butów w niedostrzeżonej kałuży. Poczciwe, twarde, żołnierskie buciska; od miesiąca nieczyszczone, od tygodnia niezdejmowane z nóg! Wam to danem było wyszepnąć ostatnią baśń idącemu na śmierć Rolandowi Karr.

Był — raz — wół — na szerokiej, zielonej łące. Wół zjadał trawę. Trawa rosła do słońca. Słońce świeciło na grzbiet wołu.

Zabito go. W czystej, higjenicznej rzeźni — w sposób humanitarny — ludzki. Mistrzowski raz obuchem w łeb — i koniec. Nie męczono go, nie posyłano nań naoślep pocisków, nie duszono gazami. Gdyby umiał myśleć, musiałby być wdzięczny. Tembardziej, że sprawa była jasna. Dawaj skórę i basta — boś na to stworzony!

Potem szewc robił buty. Naftowa lampka kopciła. Łyskał młotek bijący w świeże podeszwy. Pachniało garbnikiem. Kobieta podawała nabrzmiałą mlekiem pierś płaczącemu dziecku.

Buty wędrowały. Koleją, wozem, na plecach. Aż przyszły, stanęły na baczność, uścisnęły nogi żołnierza krzepko, miłośnie — i poszły z nim błotnistą drogą aż w piekło, ciche, skromne, nierozdzielne.

— Na dobrą i złą dolę! — szeptał ich zasapany skrzyp.

Bowiem wielka jest miłość rzeczy przez tłum niecenionych.

Pod siecią drutów kolczastych, sobie tylko znaną ścieżynką, sunął duży, ostrożny pająk.

Z boku gruchnął rechot karabinowej palby. We mgle — jak śmiech.

Tam — wróg, tu — swoi. A przecie — tak do siebie podobni. Mundury zmienić, a nie odróżnisz. I przytem to coś, co każe zabijać się wzajem, ganiać jak wściekłe psy. To coś, co rodzi się w stolicach, rozpełza po mózgach stu miljonów ludzi — aby w czerwony, jesienny zmierzch, w głowie jednego ze skazanych, zmaleć do drobnej, pokracznej cyfry w śmiertelnie fałszywym rachunku.

Jak wtedy — w zamierzchłej przeszłości — na ławie szkolnej — gdy zapisywało się na kartce ilość dni dzielących od wakacyj, by co tydzień wykreślać szereg niepotrzebnych cyfr.

Burzyła się w nim wściekle myśl — najpowszechniejsza pono z grzesznych myśli i w świętość samą wmieszana — która szeptała mu przez tyle lat, że jest ośrodkiem wszechświata. Oto klęska, najcięższa z klęsk, jakie znieść może człowiek. Wszak był już liczbą skreśloną. Jutro zewrą się nowe kolumny cyfr, maszyny liczebne pójdą w ruch, a na białej tabliczce wyskoczy czarne, okrągłe, pęczniejące zero.

Na tym wyniku ogniskowała się jego spiekła, zgrzytliwa rozpacz.

W dole, w środku między okopami — strumień. Kiedyś dzieci puszczały statki z papieru. Śmiały się, gdy wir porywał na dno.

Teraz woda pieniła się w bezładzie wyrw. Żółte leje, napełnione po brzegi brudną, przelewającą się cieczą. Obok, wciśnięte w ziemię, zbratane — francuski kask pogięty i strzaskana kolba niemieckiego mauzera. Ślady ostatniego ataku. Zapach trupi.

Czy naprawdę tak wielka różnica była między francuskiem „Oui!" a niemieckiem „Ja!"? Parę kroków dalej, a pozostanie — tu i tam — tylko pusty, niezrozumiały dźwięk i postać człowieka podobna, ach jak podobna do siebie! A przecie z tej różnicy wyróść miało to, co w zabawkę zmienia grozę średniowiecznych tortur.

Czy sześć plus sześć tylko w Paryżu równa się liczbie dwunastu? Czy tylko w Berlinie?

Rozumieć począł, że prawda kryje się gdzieś pośrodku. On sam, schylony, przywarty do mokrej ziemi pośród dwu rzędów okopów, był jej najpełniejszym obrazem.

To była ostatnia dumna myśl idącego na śmierć Rolanda Karr.

Wyżej, za zimnem grzęzawiskiem, pośród strzaskanych odłamów korzeni poczuł, że jest mu niesamowicie obco. — Jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy wszedł w bramę nieznanego domu. Chciało się szukać kojących rąk matki.

Tu już musiały sięgać niemieckie karabiny.

Rzężenie zmęczonych płuc stało się mocniejsze od huków. Krople zimnego potu spływały w ciemne grudy.

Widział wszystko. Ze stoku czarnego wzgórza ogarniał wzrokiem dwie linje. Na prawo, na tle czerwieni nieba, szary zygzak, ginący z obu stron na horyzoncie. Na lewo — toż samo. Tak do siebie podobne. Natężyć musiał pamięć, aby przypomnieć sobie, skąd przyszedł.

Równocześnie — jak błyskawica — świadomość niespełnionego jeszcze obowiązku.

Okop niemiecki spał, jak pies zwinięty w kłębek na przyzbie chaty.

A tam, po stronie przeciwnej, patrzyło na wzgórze dwadzieścia tysięcy oczu — biło dziesięć tysięcy serc — Lawina zawieszona nad przepaścią w przedchwili runięcia.

Znak!!

Wyjmując z zanadrza pistolet sygnałowy, czuł, że jednym strzałem zniszczy tysiące istnień. I wiedział, że strzeli.

Ale wiedział też, że zginie. To go uspokoiło, bowiem zrozumiał, że będzie to sprawiedliwe.

Suchy trzask. Ognik świetlny popłynął w górę i ukosem spadając, rozsypał się w stos płonących łez.

Chwila skupionej ciszy, podnosząca włosy...

Potem po obu stronch zapłonęły dwa rzędy ognia. Wiatr pocisków, niżej, u stóp, łomotał jak skrzydła potwornych ptaków.

Cienie ludzi, przy ziemi, sunące ławą naprzód.

Potem gejzery ognia rozpruły wnętrzności pagórka. Dalej, nad nieszczęsnym strumieniem, bliżej wśród strzaskanych pni, tuż!

Ręce nie mogą odlepić się od ziemi. Pagórek wysoko wiruje nad morzem pocisków, ognia, ciał i pękających gwiazd. Zawiłe rachunki, słowa matki, huk, wspomnienia i strach sklejają się w bezkształtną krwawą masę i tłuką w mózg, w mózg, w mózg...

I wreszcie — w chwili ostatniej — kiedy świadomość zapełzła w najdalszy kąt skrwawionej czaszki — w tętencie słabnących uderzeń serca — w bladej ciszy wstępującego od nóg w górę chłodu — zabłysła, jak czerwony meteor, myśl —

Zwycięstwo!!

I niewiadomo komu błogosławił w chwili skonu Roland Karr...

Francuzom? Niemcom? Ludzkości?

Poezje na marginesie poezji

Kazimierz Andrzej Jaworski: »Czerwonej i białej kochance«. Chełm, 1924, str. 78 »Księżycowy mustang«. Poezje. Dom wyd. Fr. Głowiński i S-ka. Lublin, 1925, str. 51.

Pierwszy tomik: dwie zasadnicze idee: 1) Wierzyński, 2) śmierć (więcej to jest pochlebne dla Wierzyńskiego, niż dla śmierci). Ad 1): żywcem odpisywanie »wesołych«, »wiosennych« nastrojów z »Wiosny i wina« i częściowo »Wróbli na dachu«. Ad 2): kręcenie w koło Macieju problemu śmierci tak obficie i zamaszyście, że czytelnik odnosi wrażenie nieszczerości, patosu, sztuczności poety w stosunku do jednego z największych — poza życiem — zagadnień i temat w literackich. Czasem tylko znajdujemy tu piękne i głębokie powiedzenia n. p.:

„...Nie jestem wcale śmiercią, zresztą mnie nawet niema
jest tylko inne życie...“

Tomik drugi przynosi już pewną konkretyzację. Można śmiało rozdzielić wiersze na dobre i na nic nie warte. Pewne bogactwo tematów i forma ich wyrażenia stwierdza pracę poety nad sobą. Zdarzają się wiersze doskonałe, w których głęboka treść wyświetla się w pięknej, zgodnej formie. W miarę zastosowywanie asonansów, unikanie baroku w porównaniach, kojarzenie fantazji i jej zapędów z wymaganiami sztuki, jaką się wypisało w godle. Parę cytatów:

„Księżyc i dziewczyny.
W seledynowe Verlaine'owskie noce,
gdy księżyc srebrne wydzwania tercyny,
wzbierają w duszy lunatyczne moce,
idą na schadzkę z księżycem dziewczyny.
— — — — — — — — — —
I księżyc pieści i całuje ciała,
i blaskiem srebrnym zapładnia dziewczęta,
i pierś faluje jak zasłona biała,
zdarta z ołtarza w dzień wielkiego święta.
— — — — — — — — — —
A gdy obudzą się dziewczyny senne,
kryjąc w spojrzeniu zagubioną cnotę,
pójdą przez miasto — ciche i brzemienne,
niosąc płód nocy — smutek i tęknotę“.

Doskonałe są dwa wiersze o szewcu: »On i jego buty« i »Jego męka«. Szewc Jaworskiego po przeczytaniu i wmyśleniu się w te dwa wiersze rozrasta się do rozmiarów nadistoty. Nie jest twardym wyrobnikiem Brauna (Mieczysława), lecz spętanym potworem, pożądającym zupełnego wyzwolenia, nasycenia się różowem ciałem pięknych panienek, które podają mu nóżki do miary.

„Ach zerwać te wiązadła krępujących uzd
i spaść na atłas ciała, jak niszczący ogień!
Niech pozna skwar, bijący z grubych chamskich [ust,
i ostry wstyd zwalonych z piedestału bogiń!“

W pracy przyszłość. *W. Z.*

Mylnie pojęty obowiązek

Adolf Dygasiński: »Dzieła«, Pierwsze wydanie zbiorowe tanie. W opracowaniu Władysława Wolerta. Z przedmową prof. Al. Brücknera oraz życiorysem, napisanym przez córkę autora. Nakładem »Bibljoteki groszowej«. Warszawa (1926).

Dawno upominano się o przypomnienie dzisiejszym czytelnikom Adolfa Dygasińskiego. Długie nieprzypominanie przerodziło się już w poczucie niespełnionego obowiązku. Obowiązek ten postanowiła wreszcie spełnić tanim kosztem »Bibljoteka groszowa«, wydająca książki, których barwna, efektowna i przyciągająca okładka jest często wartościowsza od samego dzieła.

Zaczęto więc pierwsze wydanie zbiorowe tanie. Tanie! Tak, 95 groszy. Ale liche, nieestetyczne, z fatalną korektą, postrzępione, szare, mizerne. To mylnie pojęty obowiązek względem pisarza dużej miary.

Dalej: wydanie zbiorowe, więc zupełne (?) Czy słusznie? Nie! Poco przypominać wszystko, jeżeli sto razy lepiej dla pamięci autora byłoby przypomnieć trochę. Przypomnieć te rzeczy, które są najlepsze i najlepszemi były i najlepszemi pozostaną.

Każdy pisarz ma pewną część utworów słabych, często nawet przy poziomie wysokim innych utworów, lichych, pod psem, pod Asem. Pod Asem jest »Van Molken« i »Na warszawskim bruku« — te właśnie dwie rzeczy, które groszowy wydawca dał prawie na początek wydawnictwa zbiorowego. To mylnie pojęty obowiązek względem pisarza dużej miary.

»Gody życia«, pieśń przepiękną, pieśń głęboką, leśną, słoneczną, rozchwiejną, mądrą, dobrą i prawdziwą, »Gody życia« wydać estetycznie, pociągająco i — tanio. To jedno wystarczyłoby, jeżeli chodzi o spełnienie obowiązku względem przemilczanego pisarza. Lepiej jednę rzecz najlepszą, niż dwadzieścia nie najlepszych. Przypomnieć jeszczę parę nowel, prawdziwych pereł i »Asa«. Wystarczy. Przypominać to, co wartościowe i to, co piękne. *W. Z.*

Tragedja bezdzietności

C. Collodi: »Pinokio«. Przygody drewnianej kukiełki. Z włoskiego oryginału opracował J. Wittlin. Nakł. »Bibljoteki Groszowej«. Warszawa. (1926). Str. 173.

Tylko 95 groszy kosztuje ta przemiła książeczka, przetłumaczona z naiwnością pełną głębokiej kultury. Nie popełnię więc zbrodni namawiania do rozrzutności na kupowanie książek! w dzisiejszych! ciężkich!! czasach!!! a jakże! jeśli otwarcie zachęcę wszystkich, którzy zaryzykują przeczytanie niniejszej wzmianki do kupna tej książeczki.

Tłumacz przysłał mi ją »z prośbą, żebym tę historyjkę odczytał swoim dzieciom«, czem w sposób niewłaściwy, znając moje ostrożne poglądy na tę sprawę, usiłuje zachęcać mnie do wstąpienia na złe drogi. Lecz naprawdę, po przeczytaniu tej książeczki, żałuję, że nie mam dzieci. Jakby to było przyjemnie prześwietlić czyjeś dzieciństwo błyskiem tej pogody, poezji i wesołości naprawdę włoskiej. Więc: albo ktoś posiadający dzieci najmie mnie za lektora »Pinokia« z odpowiedniem naturalnie honorarjum, albo...

(wz)

List do Polski

Motto: „Człowiek cywilizowany nie postępuje nikczemnie dlatego przedewszystkiem, że zanadto siebie samego szanuje“.
Roman Dmowski: „Myśli nowoczesnego Polaka“.

Wyglądał, jak chodzący poszkwil na polski nacjonalizm, a był w gruncie rzeczy uosobieniem tragedji konsekwentnego nacjonalizmu.

Ubierał się w coś w rodzaju munduru ułanów Królestwa Polskiego i nosił na piersiach order, wycięty ze złotego papieru z napisem: „Honor i ojczyzna!“.

Gdy szedł ulicą, przechodnie śmiali się lub oburzali: Nikt nie znał jego tragedji.

Pierwszy raz spotkałem go w okresie inflacji. Stał pod latarnią i cieszył się, jak dziecko, paczką bezwartościowych, zdewaluowanych stumarkówek.

Obracał banknoty w drżących rękach i szeptał do siebie: „Polskie pieniądze — polskie pieniądze“.

Uśmiechnąłem się do niego.

Odtąd ile razy mię spotkał, witał mię jak dobrego znajomego.

W jakiś czas potem dowiedziałem się o przyczynie jego obłędu.

Kto zna odbierające zmysły uczucie bezsilności, ten zrozumie tragedję tego człowieka.

Nim opinja uznała go za obłąkanego, był już anormalnym o tyle, o ile wszelka konsenkwencja jest objawem anormalnym w dzisiejszych irracjonalistycznych czasach. Manja jego polegała na dosłownem braniu hasła: „naród ponad wszystko“. Był tak mało politycznie rozwinięty, że uważał za naród polski nawet chłopów małorolnych i proletarjat. Na tem tle przyszło między nim a kilku działaczami z narodowego stronnictwa do ostrego starcia. Skończyło się na uwięzieniu go pod zarzutem komunizmu. Gdy wyszedł ze szpitala więziennego, był już nieszkodliwy.

Gdy niedawno temu wzięto go z powrotem z ulicy do zakładu obłąkanych, odwiedziłem go, a on dał mi list ni mniej ni więcej tylko — do Polski z prośbą o doręczenie przez grzeczność:

List brzmiał:

Polsko!

Nie wiem, czy mnie pamiętasz, bo widziałem Cię ostatni raz przez mgnienie oka, gdy granat przysypał mię w okopach pod Warszawą.

Nie wiem, jak dawno to było.

Ale ja mam zawsze w pamięci twoje rysy. Twój portret wisiał w naszej klasie wielki, jak każda mapa ścienna.

Porachowałem wszystkie żyły na Twoich rękach i umiem je na wyrywki: Odra, Wisła, Pilica, Bug i tyle, tyle innych. Widzę Twe oczy, koloru Bałtyku i dłoń czarną i spracowaną, jak Śląsk.

Prosiłem ich o twój portret, ale nie dali mi. Zabraniają mi myśleć o Tobie. Dlatego proszę Cię bardzo nie mów nikomu nic o tym liście. Jestem głęboko przekonany, że jest to wszystko robota żydowska, masońska i niemiecka.

Chcę Cię prosić o pewne wyjaśnienia. Nie mogę przejść spokojnie ulicą, bo ze wszystkich suteryn i nor piwnicznych wyciągają do mnie ręce obdarte widma i wrzeszczą: „My także Polacy!“

Nocą przychodzą do mnie całe gromady nędzarzy i skarżą się na Ciebie.

Przychodzą czarni, wychudli z kopalń, z hut, z fabryk, z kurnych chałup, przychodzą zbliska i daleka, ze Saksów, z Francji i Ameryki i skarżą się, że giną z głodu, że ich z domu wypędzasz i wołają: „my przecież Polacy!“ Odpisz mi zaraz, czy oni naprawdę są Polakami, bo nie mogę w to uwierzyć. To chyba propagandowa przebieranka międzynarodówki.

Był u mnie wczoraj p. Kościuszko i mówił, że nieprawdą jest, jakoby wstąpił do narodowej demokracji. Podarł manifest połoniecki i pracuje nad nowym projektem reformy rolnej.

Rozmawialiśmy pół dnia, a potem śpiewaliśmy „Bartosza“ na dwa głosy.

Teraz znowu go czekam. Uważam go za prawdziwego nacjonalistę. Kończę ten list, bo musimy obaj pracować nad reformą rolną.

Jeśli możesz, poślij mi biało-czerwoną chorągiewkę — ona tak ładnie trzepoce się na wietrze...

Adam Polewka.

„Rapperswil“

Rozmowa z Drem Adamem Lewakiem

MUZEUM NARODOWE POLSKIE
WSTĘP OD OSOBY 1 FR.
ZNIŻKI DLA TOWARZYSTW I WYCIECZEK

wypisane dużemi literami, na czworokątnej tabliczce u wejścia, obok bramy, wykutej w grubym, szarym murze.

Wokoło cisza klasztorna, — jesień, — spokój...

Dziedziniec zamkowy mały, nieregularny, obwiedziony krytym, dębowym krużgankiem, zasypany jest czerwienią liści i zarośnięty gęsto bluszczem. W pośrodku wystrzela smukła kolumna, pomnik wystawiony ku czci Konfederacji Barskiej. U szczytu kula, na niej orzeł biały; u dołu na cokole napis Teofila Lenartowicza, w języku polskim, francuskim, łacińskim i niemieckim. Z boku — na prawo — drzwi do muzeum; naprzeciw pod spojeniem trzech wieżyc mauzoleum z sercem Kościuszki.

Sięgam ręką do dzwonka...

Bibljotekarz rapperswilski p. Adam Lewak, autor niedawno wydanej, cennej pracy historycznej, o dużem znaczeniu propagandowem, pod tytułem: »Gottfried Keller und der polnische Aufstand 1863« — jest człowiekiem miłym i bardzo grzecznym. Dlatego też przypuszczam, że nie pogniewa się on na mnie za wydrukowanie rozmowy na temat zbiorów, bibljoteki i przyszłości Rapperswilu, którą prowadziliśmy, chodząc po muzeum i oglądając razem pamiątki.

— O ile się nie mylę, to kwestja przeniesienia Muzeum Narodowego i bibljoteki do kraju, podnoszoną już była kilkakrotnie w prasie? — zapytuję.

— Tak, — rzeczywiście, sprawa ta jest do dziś wciąż jeszcze aktualna... swojego czasu poruszał ją »Kurjer Poznański«, przypominał w związku z wydawnictwami Mickiewicza Artur Górski, interesowali się nią żywo: Fr. Rawita Gawroński i Mieczysław Treter, także dwa moje artykuły o Rapperswillu ukazały się w »Przeglądzie Warszawskim«, ale — jak dotychczas — bez rezultatu — uśmiecha się do Lewak.

Faktyczne wykonanie objęcia darowizny, którą formalnie przyjął z rąk Rady muzealnej dnia 21 października 1921. Sejm ustawodawczy — jakoteż przeniesienie całości na etat państwowy, należy w dalszym ciągu jeszcze — do projektów...

— Czy ostatnio zapadła jako nowa ustawa w tej sprawie?

— Proszę pana — zapomniałem panu pokazać bardzo ciekawą rzecz — mówi, jakby niesłysząc pytania, dr Lewak — w gabinecie numizmatycznym znajduje się medal bronzowy, wybity po roku 1846. Przedstawia on głowy obu twórców rzezi galicyjskiej: herszta bandytów chłopskich — Szeli i ks. Metternicha, wyrafinowanego estety i wykwintnego dyplomaty. »Les extremes se touchent« — nieprawda?

Rzeczywiście, medal jest bardzo ciekawy. Napis: »Na wieczną hańbę Austrji«. Twarze Szeli i Metternicha opierają się o siebie w rozczulającej zgodzie.

Za oddziałem numizmatycznym i sfragistycznym znajduje się »pokój Kopernika« z bogatą literaturą i portretami wielkiego astronoma.

Tu jednak wtrącić muszę sprostowanie: »Fajki Kopernika, z której kustosz sobie pyka, gdy jest w dobrym humorze«... a o której wspomina nasz nieoceniony balzakista (nazwiska chyba nie potrzebuję wymieniać), niestety — niema. Co się z nią stało, — nikt nie wie. Najbliższem prawdy byłoby może przypuszczenie, że wypalili ją do cna kustosze muzeum, w czasach poprzedzających ustawę z dnia 21 października 1921.

— Czy mógłbym wiedzieć, jakie jest pańskie zdanie w sprawie przeniesienia zbiorów i bibljoteki rapperswilskiej do Polski? — zapytuję.

— Owszem — odpowiada dr Lewak — muzeum i bibljoteka powinny być przeniesione jaknajprędzej do kraju. Propaganda praw do niepodległości nie ma już dziś racji bytu. Także zbiory, jakkolwiek bardzo cenne i drogie dla nas pamiątki, posiadają zamało walorów reprezentacyjnych na to, aby móc pokazywać je zagranicy. Mit o biednej i litości godnej Polsce, powinien się wreszcie rozwiać. Co zaś do bibljoteki, to myślę, że sprawa jej nie podlega dyskusji. Całe archiwum emigracyjne wraz z ogromną ilością innych źródeł i materjałów, powinno służyć polskiej nauce — w pierwszym rzędzie. Ale... i tu jest punkt sporny, o który wszystkie dotychczasowe projekty rozbijają się: Gdzie, do jakiego miasta Rzeczypospolitej należy przenieść zbiory i bibljotekę z Rapperswilu?

— Warszawa? — — —

— Tak, to rozwiązanie najlepsze; zrealizowaniu jednak tego planu przeszkadza brak odpowiedniego lokalu. Gmach Bibljoteki Narodowej bowiem ma powstać za lat kilkanaście, to znaczy — w przyszłości, a tymczasem Poznań ofiarowuje dziś jeszcze pokrycie znacznej części kosztów transportu, personal urzędników pomocniczych (punkt bardzo ważny!), oraz wygodne pomieszczenie w Ratuszu lub na Zamku, w zamian za otrzymanie zbiorów w depozyt na lat 25, do czasu ukończenia budowy Bibljoteki Narodowej w Warszawie.

— A co stałoby się wtedy z lokalem w Rapperswillu?

— Narazie pozostanie przy nas przez lat około czterdzieści. Sławne bowiem 99 lat prawnicze, na jaki to przeciąg czasu zamek został wydzierżawiony przez rapperswilską gminę patrycjuszów, hr. Władysławowi Platerowi, kończy się w tym okresie. Na miejsce muzeum (jak to już w r. 1924 projektowałem w »Przeglądzie Warszawskim«), możnaby urządzić stałą wystawę przemysłową, połączoną — z ciągle zmieniającą się wystawą przemysłu artystycznego i sztuki stosowanej. Kiedyś poruszyłem wspomniany temat w rozmowie z b. członkiem Rady muzeum, ś. p. Wacławem Gasztowtem, który jednak nie mógł pogodzić się z tą myślą. P. Gasztowtt, syn emigranta z r. 1831, sam członek emigracji politycznej, patrzył na ojczyznę przez pryzmat romantyzmu, oczyma literata i emigranta. Dla niego niedopojęcia była Polska trzeźwa i wyrachowana. Tradycje są potrzebne i konieczne — to zrozumiałe — ale przy rozbudowie młodego państwa nie wolno być niepraktycznym. Naszym ideałem powinny być państwa Zachodu — a one pracują z ołówkiem w ręce, nie pomijając nigdy żadnej okazji propagandy swych bogactw czy kultury. *Adam M. Nowakowski.*

Straż piśmiennictwa polskiego

Inicjatywa warszawskiego Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy była conamniej szczęśliwa. Zorganizowanie »Straży piśmiennictwa polskiego«, która może się stać w przyszłości Akademją Literatury Polskiej, powita z radością każdy, komu leży na sercu sprawa zrzeszenia chodzących luzem pisarzy polskich i dźwignięcie tak bardzo sponiewieranego dziś prestiżu literatury wśród społeczeństwa.

Ufamy, że powołani do »Straży piśmiennictwa polskiego« mężowie, wśród których znalazło się wielu najwybitniejszych twórców starszego pokolenia, nie poprzestaną na samem ukonstytuowaniu się i zajęciu dostojnych foteli »Nieśmiertelnych«, ale zabiorą się do żarliwego działania w imię dwu haseł dnia: sanacji i pracy.

A nie miniemy się z prawdą, gdy powiemy, że jest tu wiele do zrobienia i wiele do oczyszczenia. Nie chcemy powtarzać po raz drugi tego, co powiedzieliśmy na ten temat w nrze 13—14 »Gazety Literackiej« w artykule wstępnym p. t. »O wspólny front literacki«. Apelujemy tylko do członków »Straży piśmiennictwa«, aby w stęchłą i ponurą atmosferę naszego Parnasu i tego co się kotłuje pod Parnasem starali się wlać świeży powiew uczciwości i poczucia godności własnej. Szacunek naszego społeczeństwa dla literatury nie wzrośnie, o ile sami jej twórcy nie będą go mieli dla siebie. Zawiści i waśnie, koterje i obłuda, nieróbstwo i niedołęstwo, a także brak solidności i bezstronności w krytyce literackiej — oto nasze najdotkliwsze bolączki.

Panowie! W dobie smutnego kryzysu kultury, w dobie katastrofalnego upadku czytelnictwa i zatrważającej pauperyzacji pisarzy polskich, użyjcie całego swego wpływu, doświadczenia i energji, aby najprzód zjednoczyć nas wszystkich i zaprząc do sprawnej, kollektywnej pracy — a później w oparciu o silny zawodowy blok literacki wywalczyć od rządu i społeczeństwa to, co się współtwórcom i pomnożycielom kultury polskiej słusznie należy.

Wtedy (cytujemy tu słowa z wyżej wspomnianego artykułu z »Gaz. Lit.«) »nie będziemy zmuszeni prosić o posłuch i żebrać pomocy u społeczeństwa dla tych, którzy sterali siły na literackim posterunku i z których twórczość wyssała, jak wampir krew serc i pracę mózgów, aby ich potem odtrącono w nędzę i zapomnienie«.

MARJAN SEWI

* * *

Coraz bardziej się z szczęściem mojem spo-
[ufalam,
Podchodzę ku niemu, oglądame zbliska,
Doświadczam zuchwale: wołam nań po na-
[zwisku!
...Nawet wtedy nie blednie, nie cofa się, nie
[oddala.

Ogarniam je zachłannie, przenam, w niem
[się mieszę,
W dojrzałem szczęściu mojem radością naj-
[słodszą dojrzewam —
Zamyka mi ona usta, pouczająco szepcąc,
Że nie ja o szczęściu mojem, ino o mnie
[powinno śpiewać.

Jeszcze o nagrodzie państwowej

Rozstrzygnięcie „jury“ w sprawie nagrody Ministerstwa Oświaty i Wyznań religijnych za najlepsze dzieło literackie i przyznanie jej p. Kornelowi Makuszyńskiemu za „Pieśń o ojczyźnie“ dość szerokiem już odbiło się echem w prasie codziennej, zanim pismo nasze, ukazujące się w tak rzadkich odstępach czasu, mogło się na ten temat wypowiedzieć.

Mimo to wracamy do tej sprawy, aby przypomnieć jak bardzo aktualne były niedawne nawoływania „Gazety Literackiej“ o sanację smutnych stosunków panujących w polskim świecie literackim. Pomijając już to, że cały szereg poważnych pisarzy polskich zasługiwał na to wyróżnienie więcej niż p. Makuszyński i że jemu samemu nie było chyba zbyt przyjemne dostać nagrodę za najgorszą książkę, jaką napisał — należy surowo napiętnować fakt, że przez system protekcyjny i naiwne machinacje narażono na szwank nieskazitelną opinję nagrody państwowej. Jakże bowiem określić fakty tego rodzaju, jak podanie p. Goetla, pierwotnego członka jury do nagrody przez innego członka sądu konkursowego, który potem na niego nie oddaje głosu. Wygląda to tylko na wysadzenie niewygodnego przy głosowaniu kolegi, aby uzyskać ukartowaną większość. Już sam fakt ustąpienia głównego winowajcy tego bałaganu, p. Lorentowicza z prezesury P. E. N. Clubu dowodzi, że temu ostatniemu po przeforsowaniu nagrody państwowej po swej myśli, musiało być jednak dość markotno.

To musi się skończyć. Nie wolno brać w prywatną arendę spraw, obchodzących żywo ogół pisarzy, nie wolno obsiadać gnuśnych synekur, aby stosować z ich pomocą politykę samowoli i osobistych sympatyj lub uprzedzeń. Absolutna prawość i absolutnie czyste ręce obowiązują przy ołtarzu polskiej sztuki. Na miejsce ludzi niedołężnych, lub złej woli powinni przyjść ludzie nieposzlakowani i zdolni do czynu.

Dlatego to z prawdziwą radością witamy p. Ferdynanda Goetla na stanowisku prezesa P. E. N. Clubu i wyrażamy nadzieję, że jego rozmach i energja wiele naprawić może. Oby on i jemu podobni umieli wywrzeć odpowiedni nacisk na różnych pp. Skotnickich i t. p., których działalność na odpowiedzialnych stanowiskach bywa dla literatury naszej częściej szkodliwa niż pożyteczna.

Claude Farrère mówi

Senzacja! Spieszą panie dzisiejsze, podążają za niemi wczorajsze. Każdy wiek reprezentowany; — bo mówić będzie o kobiecie ms. Claude, znany szeroko poza granicami Francji (tam jednak mniej popularny).

Zwolna drzwi się otwierają i wchodzi mężczyzna wysoki, barczysty, z postaci jego bije siła, z twarzy zdrowie i zadowolenie.

»Mesdames — Messieurs! Zastrzegam się, że nie jestem ani feministą, ani antifeministą. Chcę tylko dać objektywny obraz kobiety, jaką ona była wczoraj, jaką jest dzisiaj — a dalej, czego możemy się spodziewać po kobiecie jutrzejszej.

P. Farrère mówi jowialnie i ujmująco, wciąga słuchaczy w krąg swego myślenia — szkoda tylko, że niezbyt głębokiego...

Przykład kobiety wczorajszej — to według p. Farrère'a — kobieta haremowa, która, jak twierdził prelegent, nie odczuwała niewoli i była szczęśliwa. Następnie — kobieta dzisiejsza. P. Farrère oparł jej charakterystykę na kilku banalnych określeniach, przez które doszedł do... niemieckiego K. K. K. (Kirche — Küche — Kinder)... P. Claude uważa, że kobieta dzisiejsza rzuca się do pracy naukowej, którą dochodzi do niezależnego stanowiska, tylko dlatego, że nie ma odpowiednich warunków do zamążpójścia. O, panie Farrère! Pan żyje w XX wieku!? Pan żyje we Francji?!

Po kilku smutnych i dość jałowych uwagach, przeszedł prelegent do kobiety jutra. Szkicuje ją na podstawie wątpliwego zdarzenia ze swego życia. Po ośmiu latach miłego, przyjacielskiego stosunku z pewną piękną (naturalnie, Farrère nie spotkał nigdy brzydkiej kobiety — szczęśliwy!) kobietą, drobne zajście: zdeptanie przez nią kwiatu róży, zdeptanie, wytłumaczone tylko jej kaprysem, doprowadza do zerwania... »Powiedziała mi, że dla zaspokojenia swej chwilowej zachcianki gotowa jest zniszczyć co najpiękniejsze. Bo życie jej całe polega na fantazji i kaprysach. Ona popadła później w melancholję, a wreszcie umarła w szpitalu... warjatów«. W tym przykładzie widzi p. Farrère kobietę przyszłości... Smutny to obraz. Oby przynajmniej bez tego zakończenia!

Odczyt Claude Farrère'a, popularnego — u nas — a nawet przez niektóre warstwy uwielbianego pisarza, wywołał przykrą dyscharakterystykę prelegenta, w której ujrzeliśmy bardzo widocznie przykry kontrast między »Ms Farrère hier«, a »Ms Farrère aujourdhui« — z wykluczeniem wszelkiego »demain«...

Przybysław.

To jest poezja — i to jest piękne

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski: »Gałązka z za płotu«. Cykl liryczny. Lwów, 1926, str. 32.

Ten cykl dziewięciu skromnych opowiadań prozą, zrobił na mnie bardzo dziwne wrażenie. Daremnie dla określenia go i dla sprecyzowania sobie w mózgu jakiegoś osądu krytycznego szukałem w myśli zwykłych formułek i szablonów. Mglisty kontur tego tworu ducha nie mieścił mi się w żadnej szufladce recenzyjnych komunałów. Początkowo dość naiwnie i dość nieostrożnośnie zagościł we mnie ten niemądry uśmiech człowieka przesyconego formą, wykarmioną perwersją słowa i asonansu, metafor i gimnastyki literackiej, który zamierza zbagatelizować »formę niedojrzałą«. Zaraz jednak zaskoczył mnie ten nieuchwytny, niepokojący czar idący od tej niepozornej książeczki. Z pod przymkniętych powiek błahych, bezpretensjonalnych opowiadań i ledwo naszkicowanych fragmentów spojrzały na mnie przenikliwe, urocze źrenice. Prostota ich wydała mi się niezupełnie prostą; raczej zagadkową i zawikłaną. W splotach chaotycznych — rzekłbyś — i nieskonstruowanych dialogów i »trialogów« uwięzgła jakaś fascynująca, podskórna treść. Dojrzałem w tem myśl, mądrą, skupioną myśl człowieka, który wewnątrz samego siebie wiele zgłębił i przeżył. Nawet ta niewyszukana forma tych utworów zapachniała mi naraz zadumanym wykwintem wrażliwej artystycznie duszy.

Wstrząsającem poprostu było dla mnie opowiadanie 4-te: »Winogrona«. Ale więcej poezji, najwięcej smutnego, a głębokiego liryzmu zawarło się w cichych, okrągłych zdaniach »Lady Gwendolen«, tej 11-letniej lady, której »oczy są ciemnoszafirowe i zatrważająco mądre«. Lady Gwendolen, która nie śmieje się nigdy, która tylko z wytężeniem myśli. Lady Gwendolen z »ciężkim, bursztynowym włosem, wśród gęstych zarośli kwiatów«.

Tak. To jest poezja — i to jest piękne.

J. B.

O Kazimierzu Morawskim

Władysław Koch: »Wspomnienie o Kazimierzu Morawskim«. (Nakł. Komitetu rodzicielskiego Państwowego gimnazjum IV. im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie; 1926 r. — Cena 1·50). Z dusznej klasy gimnazjalnej wynosi się kiedyś po latach na szeroki świat wspomnienie kilku zaledwie tak mądrych i dobrych wzorów wychowawców, jak prof. Koch. Znany i poważany ten profesor krakowski wespół z Kazimierzem Morawskim wypracował dzieło godne najżywszej pamięci uczniów: kolonję wakacyjną w Porębie Wielkiej. Podniósł ją »na duchu i ciele«. Dbał o jej tradycje. Jej świeże powietrze wykarmiło wielu. Tamże to na amatorskiej scence wygrywał się pierwszy raz dr Z. Nowakowski, wzdychał nad wierszami Marjan Sewi... Błogostany dzieciństwa są nieraz źródłem, w którem się przyszłość przegląda. Autor serdecznie napisanej książeczki wskazał na postać Morawskiego, jako na wzór i przykład dla kształcącej się młodzieży. Winna ona zwrócić jak największą uwagę, na to skromne, a tak szczere dziełko.

J. S.

Zwracamy uwagę

naszych czytelników na ogłoszenia *„Matury“* i *W. Bolońskiego* w niniejszym Nrze. Powsz. kursa koresp. *„Matura“* ułatwiają wielu osobom warunki życiowe, z wiedzą nabytą przez ten łatwy i tani system korespondencyjny otrzymuje się posady i intratne zajęcia. Kursy języków obcych, na bardzo przystępnych warunkach, prowadzone przez fachowców zagranicznych, pozwalają w przeciągu 6-ciu miesięcy władać dobrze obcym językiem — a dziś bez obcych języków wprost niemożliwe jest życie człowieka kulturalnego. — *W. Boloński* (Z. Raba nast.) to solidna poważna firma pierwszorzędnych instrumentów muzycznych, która posiada zastępstwa najlepszych zagranicznych wytwórni fortepianów i pianin. Na czas świąteczny firma ta poczyniła rozmaite ustępstwa i ulgi przy sprzedaży instrumentów, tak, żeby ułatwić szerokiemu ogółowi nabycie instrumentów muzycznych.

Pierwszej jakości cukry, czekoladki herbatniki „Kryształ“ zakupić można w składzie fabrycznym Kraków Rynek główny 7.

Elegancka Garderoba męska na miarę Henryk Blatt Kraków Szewska 18. Tel. 41-72.

GRAMOFONY i płyty krajowe i zagraniczne znanej światowej marki „POLIDOR i COLUMBIA“ LEOPOLD HUTTERER KRAKÓW, UL. GRODZKA 43. Główny skład instrumentów muzycznych wszelkiego rodzaju

OBYWATELE! Nie żałujcie grosza na cele oświatowe T. S. L.

Za dział ogłoszeń Redakcja nie bierze odpowiedzialności.

NA RATY! NA RATY! Pierwszorzędne modele damskie — ubiory męskie — oraz **FUTRA** gotowe i na miarę, jak również materjały krajowe i angielskie polecają najtaniej **J. i S. EMMER** Kraków, ulica Florjańska 43. — Tel. 4211.

POWSZECHNE KURSA KORESPONDENCYJNE **„MATURA“**

KRAKÓW, KARMELICKA 35, (parter)

Kierownik pedagogiczny: Prof. Dr BRONISŁAW SWIBA

Dodatkowe wpisy na nowe kursa:

1) **Kurs gimnazjalny** klasy 4, 6 (głównie dla wojskowych i urzędników).
2) **Kurs przygotowawczy** dla matury gimn. i sem. naucz. (głównie dla nauczycieli prof. i oficerów).
3) **Osobne kursa języka angielskiego,** niemieckiego i francuskiego, każdy w 32 lekcjach pod kierownictwem sił zagranicznych.

Każdy uczy się w domu z wykładów drukowanych (litograf.) opracowanych według nowych planów prze zPP. Profesorów szkół środnich i Docentów Uniwersytetu, bez potrzeby stałej zmiany mieszkania. — Poprawa zadań, kollokwja kontrolne, wyczerpujące wyjaśnienia na każde żądanie. Wpisującym się w grudniu opłaty zniżone o 20%. Każdy 10-ty wpisujący się i wpłacający 1 ratę otrzyma miejsce bezpłatne, wyznaczone przez osobną komisję konkursową i w obecności notarjusza. Kto otrzyma miejsce bezpłatne, temu wpłaconą ratę zwrócimy po ogłoszeniu wyniku konkursu. Każdy informający się w grudniu pośle 3 zł i porto 50 gr, poczem otrzyma: 1) prospekt, 2) program, 3) próbną lekcję na 8 dni (podać klasę, względnie język obcy), 4) potrzebne informacje.

Zgłoszenia na ulgowe i bezpłatne miejsca do 25 grudnia.

Uwaga na adres: **Karmelicka 35!** Wystrzegać się naśladownictw.

ORYGINALNY STEINWAY

PANIE UBIERAJĄ SIĘ NAJTANIEJ W FIRMIE „ŚWIAT MODY“ PIERWSZORZĘDNY MAGAZYN PŁASZCZY I KOSTJUMÓW KRAKÓW, GRODZKA 23.

Hurtownia wszelkich artykułów sportowych **Józef Wurm** Kraków ulica Szewska L. 9

!! NA GWIAZDKĘ !! BARDZO TANIO

Wełny, Flanele, Barchany, Płótna, Zefiry, Obrusy, Ręczniki, Mydła, Perfumy, Galanterja art., Swetry, Trykotaże, Zabawki dziec., Ubrania, Płaszcze, Jedwabie, Mundurki stud. — Koce-kołdry, Pończochy, Skarpetki, Chusteczki, Rękawiczki, Krawaty, Torebki, Szaliki, Kołnierzyki, Bielizna, Obuwie, Suknie, Kurtki, Brokaty, Mundurki skaut., Porcelana i t. p. poleca

DOM TOWAROWY **„APROWIZACJA MIAST“** w Krakowie, Rynek gł. 34, I. p. (nad Hawełką). Kredyt na dogodnych warunkach.

WITOLD THEOBALD Kraków, ulica Sławkowska L. 1 — (obok Hotelu Saskiego) Pierwszorzędny skład perfum, kosmetyków i mydeł krajowych i zagran.

Grudzień, 1926! Nowości!

Alberti K.: **Bunt lawin.** Poezje.
Braun J.: **Hotel na plaży.** Powieść.
Grubiński W.: **Księżniczka żydowska.**
Iłłakowicz I. K.: **Płaczący ptak.** Poezje.
Kisielewski Z.: **Błąd.** Powieść.
Konar A.: **W pogoni za szczęściem.** Powieść.
Nowaczyński A.: **System Dra Caro.** Powieść.
Pawlikowska M.: **Wachlarz.** Poezje.
Wat A.: **Bezrobotny Lucyfer.** Opowieści.
Zegadłowicz E.: **Dom jałowcowy.** Poezje.

Wydawnictwa Księgarni F. HOESICKA — Warszawa.

PROSIMY WYCIĄĆ I ZACHOWAĆ!

WSZYSTKO, co pisze cała prasa w kraju i zagranicą O LITERATURZE I O SZTUCE oraz O LITERATACH I ARTYSTACH jak również o każdej sprawie i dziedzinie życia WIDZI — CZYTA — WIE — zbiera i na zamówienie DOSTARCZA W WYCINKACH ze wszystkich gazet i czasopism, jak również pośredniczy w prenumeracie wszystkich gazet i czasopism polskich i obcych, **INFORMACJA PRASOWA POLSKA** ajencja i poradnia w sprawach propagandy, reklamy i prenumeraty **w Warszawie, Bracka 5. Tel. 241-53.** Korespondenci we wszystkich stolicach.

NOWOŚĆ Niezbędne dla gospodarstw domowych w mieście i na wsi **Andrzej Różycki** **KRAKOWSKIE WYROBY WĘDLINIARSKIE** Praktyczne wskazówki o wyrobie wędlin. — 206 stron druku. — Cena 7·50. Z przesyłką poczt. 7·95. Skład główny: **Gebethner i Wolff** KRAKÓW, RYNEK GŁÓWNY 23. **NOWOŚĆ**

WIELKA OKAZJA GWIAZDKOWA do końca grudnia. Płaszcze, Kostjumy, Suknie, Szlafroki, Wyroby trykotowe. Ceny znacznie zniżone. **DOM MODELI** WILHELM VOGLER KRAKÓW Florjańska 10. Telefon 3467.

Żądajcie wszędzie!

Żądajcie wszędzie!

MEBLE: Sypialnie, Jadalnie, Gabinety, Salony, Kluby, Łóżka, Wózki i t. p. **DOM MEBLOWY M. PLESZOWSKI** Mały Rynek 2. Kraków. Telef. 4136. Udogodnienia przy kupnie. DYWANY: Firanki, Serwety, Narzuty, Brokaty, Kołdry, Koce, Materace i t. p.

„KINO WANDA“

Wspaniały film produkcji „Producres Diestriebutions Corporation“ pod tyt. **TRAGICZNY FLIRT PODLOTKA** Przepiękny dramat erotyczno-kryminalny w 8-miu aktach. W roli głównej **Patsy Ruth Miller,** słynna „Esmeralda“ w filmie „Dzwonnik z Notre-Dame. Ponadto bardzo wesoła komed. w 2 akt. **Zwarjowane wyścigi i Tygodnik Pathégo**

HALLO! PO CHARLESTONIE ORZEŹWIA PIPERMENT BOLS'A

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ WARSZAWA Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KAWIARNIA „ESPLANADA“ KRAKÓW CODZIENNIE DANCING PIERWSZORZĘDNA ORKIESTRA DANCINGOWA

ALEKSANDER GRABOWSKI Kraków, ulica Szewska 16 SKŁAD WĘDLIN poleca wędliny znanej jakości.

W soboty i święta five-o-cloc **DANCING-BAR „MIRAŻ“** Kraków, Grodzka 42 Otwarty od 9 do 3 rano

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm szerokości szpalty na ostatniej stronie 25 groszy, na innych 50% drożej.

Redaktor naczelny i wydawca: JERZY BRAUN. — Redaktor odpowiedzialny: WITOLD ZEGENTER. Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem Stanisława Ziemiańskiego.